

Małopolska Wielu Kultur

Łemkowie

Małopolska Wielu Kultur

Łemkowie



Wydawca:

mik

Małopolski Instytut Kultury
ul. Karmelicka 27, Kraków
tel.: 012 422 18 84
www.mik.krakow.pl

instytucja kultury
Województwa
Małopolskiego



Publikacja przygotowana w ramach projektu „Małopolska Wielu Kultur. Łemkowie”,
który został objęty honorowym patronatem Małopolskiego Kuratora Oświaty.

Koordinacja projektu: Alicja Sułkowska-Kądziołka
Dobór tekstów i opracowanie merytoryczne: Patrycja Trzeszczyńska
Redakcja: Joanna Nowostawska-Gyalóky
Opracowanie graficzne: Marcin Klag, Karol Jadach
Korekta: Marta Stęplewska, Ewa Ślusarczyk, Edyta Wygonik-Barzyk

ISBN: 978-83-61406-20-4

© by Małopolski Instytut Kultury, Kraków 2009

Kraków 2009

Spis treści:

Patrycja Trzeszczyńska, Zagadkowy naród?	7
Paweł Stefanowski, Jak powstał mój wiersz	15
Paweł Stefanowski, Zaduma w cerkwi	16
Paweł Stefanowski, Łemkowie	17
Paweł Stefanowski, Do Polaków	18
Władysław Graban, Przywołanie	19
Władysław Graban, Łemkowyna	20
Władysław Graban, Ziemia woła	21
Władysław Graban, By nie zgasły świece	22
Władysław Graban, Do wygnanych	23
Petro Murianka, Gdzież wy	24
Petro Murianka, Popielisko	25
Petro Murianka, Tuż przed zimą	25
Petro Murianka, Nade wszystko chciałbym	26
Petro Murianka, Święty Mikołaju	27
Petro Murianka, Mój wiersz	28
Petro Murianka, Droga	28
Petro Murianka, Łemkowski krzyż	29
Petro Murianka, Bezideowy wiersz	29
Petro Murianka, Humanitas	30
Paweł Ksenicz, Łemkowie w pytaniach i odpowiedziach	31
Petro Murianka, Dom na wzniesieniu (fragmenty)	34
Jarosław Zwoliński, Rapsodia dla Łemków (fragmenty)	39
Maria Krynicka, Anna Świątkowska, Z łemkowskiej skrzyni, cz. I (fragmenty)	46
Ella i Andrzej Banachowie, Historia o Nikiforze (fragment)	52
Przepis na kysielicę	55
Polecana literatura	56
Strony internetowe poświęcone Łemkom i kulturze łemkowskiej	59

Szukam cię od lat
od narodzin
noszę twoje знамя
i ciągle jesteś odległą
a jakże bliską
[...]

Łemkowyna, Władysław Graban (s. 20)

Zagadkowy naród?

Patrycja Trzeszczyńska

Łemkowie są grupą etniczną, która nie ma własnego państwa, ma jednak wszelkie podstawy, by rozwijać swoją tożsamość opartą na języku, tradycji, świadomości swojej odrębności oraz posiadania terytorium, na którym jest gospodarzem. I choć to ostatnie zostało im odebrane w 1947 roku przez władze komunistycznej Polski w czasie wysiedleńczej Akcji „Wisła”, wciąż mogą czuć się tam u siebie – nie tylko ci, którzy wrócili z wysiedlenia, ale także ci, którzy rzadko odwiedzają ziemie przodków.

Według ostatniego spisu powszechnego (2002), w Polsce mieszka 5850 osób deklarujących narodowość łemkowską, (0,015% ogółu ludności Polski), a 5627 spośród nich posługuje się językiem łemkowskim w kontaktach rodzinnych. Najwięcej Łemków po wysiedleniu mieszka w województwie dolnośląskim (3084) oraz małopolskim (1584), duże skupisko mniejszości łemkowskiej jest także w województwie lubuskim. Obecność Łemków w Małopolsce jest efektem ich powrotów na ojcowiznę, które stały się możliwe po 1956 roku. Choć wiązało się to ze znacznymi trudnościami (ich gospodarstwa były już zajęte przez polskich osadników i władzom zależało na powstrzymaniu niekontrolowanej fali powrotów), ocenia się, że na Łemkowszczyznę wróciło około 2 tysiące Łemków. Obecnie zamieszkują oni trzy powiaty województwa małopolskiego: gorlicki (1354), nowosądecki (164) oraz krakowski (49). Spis powszechny nie odzwierciedla w pełni liczebności społeczności łemkowskiej w Polsce. Wielu Łemków deklaruje narodowość ukraińską, uważając się za grupę etnograficzną narodu ukraińskiego.

Brak jedności w łonie grupy łemkowskiej wyraża się również w kwestii pochodzenia Łemków. Według stanowiska polskich naukowców, Łemkowie są potomkami bałkańskich pasterzy, zwanych Wołochami. Ci ostatni trafili w Karpaty Zachodnie w dwóch wielkich falach migracyjnych, przypadających na XIV i XVI wiek, łącząc się po drodze z Rusinami. Natomiast stanowisko badaczy ukraińskich wywodzi pochodzenie ludności łemkowskiej w Karpatach Zachodnich od Rusinów, którzy uciekali z Rusi Kijowskiej pod naporem pędzących te ziemie Tatarów. Wielu Łemków nie uznaje żadnego z tych stanowisk, reprezentując opcję autonomiczną. Uważają, że żywioł łemkowski stanowi efekt nałożenia się osadnictwa polskiego na osadnictwo ludu zwanego Białymi Chorwatami.

ŁEMKOWSKA ARKADIA

Historyczna Łemkowszczyzna jest położona między doliną Popradu na zachodzie oraz Oslawą i Oslawicą na wschodzie. W jej obrębie znajdują się dwie grupy górskie: część Beskidu Sądeckiego (pasmo Jaworzyny Krynickiej) i Beskid Niski.

Łemkowie żyli wśród wielu grup etnograficznych. Od zachodu sąsiedowali z Lachami Sądeckimi, w pobliżu których, w okolicy Szczawnicy (cztery wsie: Jaworki, Szlachtowa, Czarna Woda i Biała Woda), zamieszkiwała grupa o kulturze zbliżonej do kultury Łemków – Rusini Szlachtowscy. Polski etnograf Roman Reinfuss wyodrębnił ponadto dwie inne ruskie grupy etnograficzne na terenie sąsiadującym z Łemkami: Zamieszkańców (mieszkających na północ od Krosna, w okolicy Dynowa) i Wenhrinów (z okolic Dubnego i Leluchowa koło Muszyny). Szczególnie ciekawą grupą są Rusini Szlachtowscy. Według Reinfussa różnili się oni nieco od swoich pobratymców z Łemkowszczyzny, choć mieli pewne elementy wspólne. Ruscy mieszkańcy okolic Szczawnicy mieli mieć w swoim kolorystyce kulturowym więcej cech z pobliskiego Spisza, na przykład ze słowackiej jego części, co, zdaniem badacza, zbliżało Rusinów Szlachtowskich właśnie do sąsiadujących z nimi grup, a nie do oddalonych barierą Beskidu Sądeckiego Łemków.

Od północy sąsiadami Łemków byli Pogórzanie, od północnego wschodu Dolinianie, od wschodu Bojkowie, a jeszcze dalej na wschód za grupą Bojków, w Karpatach Wschodnich między rzekami Prut i Czeremosz, mieszkali Huculi (przed 1939 rokiem w granicach Rzeczypospolitej, dziś zamieszkują państwo ukraińskie). Wszystkie te trzy grupy: Łemkowie, Bojkowie i Huculi to ruscy górale karpaccy. Położenie na skrzyżowaniu szlaków handlowych i sąsiedztwo wielu narodów, grup etnicznych i etnograficznych sprawiło, że Łemkowszczyzna jest swoistą mieszanką kulturową z przewagą elementów ruskich, polskich, słowackich i węgierskich.



łemkowie
małopolska
wielu kultur

Do 1947 roku Łemkowie zamieszkiwali 170 wsi, rozciągających się na przestrzeni 130 km ze wschodu na zachód i około 30 km z północy na południe. Łemkowszczyzna słynie ze swoich walorów turystycznych i uzdrowiskowych. Beskid Sądecki znajduje się pomiędzy doliną Dunajca na zachodzie i Przełęczą Tylicką na wschodzie. Najwyższym szczytem jest tu Przehyba (nazwa łemkowska: *Prehyba*) – 1265 m n.p.m. Najbardziej znane miejscowości w Beskidzie Sądeckim, które słyną z wód mineralnych i mają status uzdrowiska to: Krynica, Muszyna, Piwniczna Zdrój. Beskid Niski w polskiej części jest położony między doliną Kamienicy Nawojowskiej i Przełęczą Tylicką na zachodzie a Doliną Oslawy i Oslawicy na wschodzie. Jest to największe obniżenie w polskich Karpatach. Najwyższym szczytem jest Lackowa – 997 m n.p.m. Najbardziej znane miejscowości w Beskidzie Niskim to Wysowa, Dukla, Iwonicz Zdrój, Rymanów Zdrój. W Beskidzie Niskim znajduje się również najniższa przełęcz w całych Karpatach – Przełęcz Dukielska (500 m n.p.m.).

Po południowej stronie Karpat – między Popradem i Dunajcem na zachodzie a Čirochą i Laborcem na wschodzie – mieszkają słowaccy Rusini. Na Słowacji nie funkcjonuje nazwa „Łemko”; używa się tutaj nazw „Rusin”, „Rusnak”. Nazwy te spotyka się i po północnej stronie Karpat. Społeczności rusińskie żyją także na Ukrainie, w Jugosławii, na Węgrzech, w Rumunii, Chorwacji, USA i Kanadzie. Wielu Łemków odczuwa łączność z Rusinami zamieszkującymi inne państwa i utrzymuje ze swoimi pobratymcami liczne kontakty kulturalne. Niektórzy Rusini uważają, że są członkami narodu karpatorusińskiego, stanowiącego czwarty – obok Rosjan, Białorusinów i Ukraińców – naród wschodniosłowiański.

ZARYS HISTORII ŁEMKÓW

Po rozbiorach Polski Łemkowszczyzna znalazła się w granicach Cesarstwa Austriackiego. W XIX wieku zaczęła się na tym terenie kształtować świadomość narodowa mieszkańców. Po przemarszu wojsk rosyjskich w czasie Wiosny Ludów wśród Łemków pojawiła się orientacja rusofilską (zwana też moskalofilską czy moskwofilską), wyrażająca sympatię dla carskiej Rosji. Równocześnie do głosu dochodziła opcja staroruska, neutralna politycznie, podkreślająca związek Łemkowszczyzny z całością ziem wschodniosłowiańskich. Najpóźniej pojawiła się orientacja proukraińska, wspierająca wysiłki galicyjskich Ukraińców na rzecz utworzenia własnego państwa. Podział Łemków na zwolenników tych opcji utrwalił się, jego ślady widoczne są do dziś.

Podczas I wojny światowej Łemkowie, dostali się w orbitę wielkiej międzynarodowej polityki. Władze austro-węgierskie oskarżyły część rusofilsko nastawionej inteligencji łemkowskiej o wspieranie Imperium Rosyjskiego. Wśród oskarżonych znaleźli się w większości księża prawosławni i działacze, którzy zostali osadzeni w obozie koncentracyjnym w miejscowości Thalerhof koło Grazu. Z umieszczonych tam 5000 Łemków z północnej i Rusinów z południowej strony Karpat zginęło około 1800 osób. Łemkowie do dziś przywołują ten fakt we wspomnieniach i podczas spotkań członków tej społeczności w Beskidzie Niskim.

Wkrótce po zakończeniu I wojny światowej, w 1918 roku Łemkowie dążyli do utworzenia własnego państwa. Powołano się na zawarte w orędziu prezydenta T.W. Wilsona z 1918 roku punkt o samostanowieniu narodów i na tej podstawie we Floryncie i Komańczy (właściwie w pobliskim Wisłoku) utworzono dwa łemkowskie państwa. Oba miały własny rząd i wojsko. Republika Floryńska – położona na zachodniej Łemkowszczyźnie – istniała przez dwa lata, opierając się władzom państwa polskiego, a głównym celem jej przywódców było zacieśnienie kontaktów z Rusinami z południowej strony Karpat, obawiano się również, że wkrótce podzieli ich granica powstającego państwa czechosłowackiego. Drugie państwo – Republika Komańczańska – zgłosiło swój akces do proklamowanej we Lwowie w 1918 roku Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej, jednak władze polskie po niespełna trzech miesiącach doprowadziły do upadku łemkowskich niepodległościowych inicjatyw na wschodniej Łemkowszczyźnie. Współcześnie, podczas dyskusji o stanie tożsamości narodowej, Łemkowie często wspominają własną państwowość – efemeryczną, ale istotną dla podkreślenia dążeń narodowowyzwoleńczych.

AKCJA „WISŁA”

Po II wojnie światowej doszło do największej tragedii w dziejach społeczności łemkowskiej. W 1947 roku władze komunistyczne postanowiły zastosować zasadę zbiorowej odpowiedzialności wobec wszystkich obywateli Polski wyznania greckokatolickiego lub

prawosławnego, zaliczając do tej grupy między innymi Ukraińców i Łemków. Postanowiono dokończyć rozpoczęte w latach 1944-1946 wysiedlanie tej ludności na mocy umów dwustronnych między Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego a republikami radzieckimi: białoruską i ukraińską. Rzekomo dobrowolne wysiedlenia objęły około 480 tysięcy Łemków i Ukraińców, wywożonych na tereny oddalone od powstającej granicy polsko-radzieckiej. Oficjalnie za pretekst do rozpoczęcia w 1947 roku akcji wysiedleńczej z Łemkowszczyzny i Bieszczadów posłużył zamach na generała Karola Świerczewskiego w Jabłonkach. Wiadomo jednak, że plan wysiedlenia tej ludności przygotowany był jeszcze przed śmiercią generała. Uzasadnieniem akcji miała być chęć ostatecznego rozprawienia się z ukraińską partyzantką (Ukraińska Powstańcza Armia – UPA). Wszystkich Łemków i Ukraińców potraktowano jako współodpowiedzialnych za poczynania ukraińskich partyzantów w Bieszczadach i taka też propaganda, skutecznie przygotowywana przez władze, dotarła do przyszłych sąsiadów przesiedleńców. Do wysiedlanych mieszkańców Beskidu Niskiego i Bieszczadów przyłgnęło określenie „banderowiec”, choć większość tej ludności nie miała nic wspólnego z ukraińską partyzantką, a wielu Łemków walczyło z niemieckim okupantem w polskich mundurach Gwardii Ludowej. Akcją objęto 150 tysięcy ludzi, planując ich rozmieszczenie na poniemieckich ziemiach zachodnich w taki sposób, aby ludność tę rozproszyć i skłonić do jak najszybszej asymilacji i polonizacji. Otoczenie, „odpowiednio” nastawione do „banderowców”, utrudniało im aklimatyzację na nowych ziemiach i podkreślało swoją wrogość wobec nich. W drodze na tereny przesiedlenia wielu niewinnych Łemków trafiło do obozu pracy w Jaworznie, byłej filii KL Auschwitz, gdzie więźniowie traktowani byli jak bandyci, którzy mieli się wstawić, jeśli nie jawną współpracą z UPA, to przynajmniej szerokim poparciem jej działań. Wielu poniosło śmierć w obozie lub jeszcze podczas transportu.

Do czasu umożliwienia Łemkom powrotów na ziemie ojców po 1956 roku żyli oni niemal na walizkach, licząc jeszcze kilka lat po wysiedleniu na zmianę decyzji władz. Gospodarstwa, które dostali, znacząco różniły się od sąsiednich, zajętych już przez przesiedlanych wcześniej z ZSRR Polaków, często były podupadłe, pozbawione podstawowej infrastruktury. Brak inicjatywy Łemków na rzecz poprawy swojego bytu, wynikający z wiary w rychły powrót na Łemkowszczyznę, przez ich otoczenie był odbierany jako dowód potwierdzający wszelkie negatywne stereotypy utrwalane przez władzę. Efekt ten, ku utrapieniu i niejednokrotnie przerażeniu Łemków, wzmacniały propagandowe książki i filmy, takie jak powieść *Łuny w Bieszczadach* J.Gerharda czy *Ogniomistrz Kaleń* w reżyserii E. i Cz. Petelskich.

ETNONIM

Nazwa „Łemko”, „Łemkini”, „Łemkowszczyzna” powstała w I połowie XIX wieku i najprawdopodobniej pochodzi od rzekomo nadużywanego przez ludność, zwaną później Łemkami, słowa „lem” (po polsku: tylko, ale słowackie „len” ma to samo znaczenie, podejrzewa się zatem, że to wpływ języka słowackiego). Nazwa ta, początkowo przezwiskowa i pejoratywna, z czasem przyjęła się – używali jej zarówno sami Łemkowie, jak i ich sąsiedzi. Nie stosuje się jej w odniesieniu do słowackich Rusinów.

JĘZYK

Język Łemków, podobnie jak ich kultura materialna i symboliczna, stanowi wypadkową wpływów słowackiego, polskiego, cerkiewnosłowiańskiego (języka liturgii w Cerkwi Prawosławnej), ruskiego oraz węgierskiego. Jego cechą jest, podobnie jak w języku polskim, stały akcent, padający na przedostatnią sylabę. Tak jak wszystkie języki wschodniosłowiańskie, język łemkowski jest zapisywany cyrylicą.

RELIGIA

Religia Łemków nie jest jednolita – spaja ją wschodni obrządek, jednak od czasu konfliktów religijnych między zwolennikami grekokatolicyzmu i prawosławia, trwających w okresie międzywojennym na Łemkowszczyźnie, Łemkowie są pod tym względem podzieleni.

W 1054 roku nastąpił podział Kościoła chrześcijańskiego na dwa odłamy – rzymski (katolicki) i prawosławny. W 1596 roku część duchowieństwa prawosławnego na ziemiach ówczesnej Rzeczypospolitej podpisała w Brześciu Litewskim unię z Rzymem, mającą na celu



łemkowie

małopolska
wielu kultur



łemkowie

małopolska
wielu kultur

podporządkowanie Cerkwi prawosławnej jurysdykcji Rzymu, zrównanie w prawach obywateli, przeprowadzenie reform w Cerkwi oraz, pośrednio, oddzielenie wiernych prawosławnych od wpływów moskiewskiego patriarchatu. Unia upowszechniała się jednak długo – do diecezji przemyskiej, w granicach której wówczas znajdowała się Łemkowszczyzna, dotarła dopiero w 1692 roku, kiedy to prawosławny biskup przemyski Innocenty Winnicki przystąpił do unii wraz z całą diecezją. Podczas konfliktów na tle wyznaniowym, wynikłych na tle niejednokrotnie zbyt otwartej agitacji księży grekokatolickich na rzecz wspierania dążeń niepodległościowych galicyjskich Ukraińców, wielu Łemków, zwłaszcza tych, którzy byli przychylni opcji rusofilskiej lub staroruskiej, zdecydowało się wrócić do wiary przodków sprzed unii brzeskiej. Skala konfliktu zaniepokoiła władze Polski, które postanowiły zahamować konwersje, czyli zmiany wyznania z grekokatolickiego na prawosławne, powołując w 1934 roku Administrację Apostolską Łemkowszczyzny, podległą bezpośrednio Watykanowi. Struktura ta miała ochronić łemkowskich grekokatolików przed ukraińską polityką Cerkwi grekokatolickiej równocześnie zatrzymując ich przy tym obrządku. Od lat międzywojennych możemy mówić o podziale wyznaniowym w łonie społeczności łemkowskiej.

Czym Cerkiew grekokatolicka różni się od Kościoła rzymskokatolickiego? W sferze dogmatycznej nie ma między nimi różnic. Odmienności dotyczą natomiast sfery obrządku – cerkiew wierna jest tradycji wschodniej. Zatem, podobnie jak prawosławni, grekokatolicy obchodzą swoje święta zgodnie z kalendarzem juliańskim (starszym w stosunku do utworzonego w 1582 roku kalendarza gregoriańskiego, którym posługuje się zachodnie chrześcijaństwo), ich księży, z wyjątkiem duchowieństwa zakonnego, nie obowiązują celibat, komunię podaje się pod dwiema postaciami. Wierni, zarówno prawosławni, jak i grekokatolicy, modlą się w cerkwi, stojąc przed ikonostasem, oddzielającym sferę ziemskiego, doczesnego życia od sfery niebiańskiej, gdzie następuje, niewidoczna dla nich, przemiana darów. Podczas liturgii prawosławnej obowiązuje język cerkiewnosłowiański, a u grekokatolików – ukraiński (oficjalna nazwa Cerkwi grekokatolickiej w Polsce to Kościół Bizantyńsko-Ukraiński).

Czasem wymiennie z nazwą „grekokatolicki”, „grekokatolik” stosuje się określenie „unicki”, „unita”. Jest to jednak określenie, które odnosi się do pierwszych pokoleń prawosławnych, którzy przyjęli unię z Rzymem, a nazwą „grekokatolicki” zastąpiła je cesarzowa Maria Teresa w 1774 roku, dążąc do zrównania praw rzymskich i greckich katolików w swoim cesarstwie.

ARCHITEKTURA CERKIEWNA

Łemkowskie drewniane cerkwie, zarówno prawosławne, jak i grekokatolickie, słyną ze swego piękna. Stanowią prawdziwe architektoniczne perełki Łemkowszczyzny. Po wysiedleniu Łemków władze Polski Ludowej celowo niszczyły te obiekty, część z nich oddały jednak w użytkowanie Kościołowi rzymskokatolickiemu. Po 1989 roku Łemkowie dążyli do przywrócenia swoich nabożeństw w odebranych im cerkwiach, równocześnie z szacunkiem traktując wspólnoty rzymskich katolików, którzy sprawowali tam swoje msze. Dlatego często można się dziś spotkać ze sprawowaniem w tej samej świątyni nabożeństw w obu katolickich obrządkach przez dwóch różnych księży. Wiele cerkwi wróciło do prawosławnych wiernych.

Klasyczne cerkwie łemkowskie to budynki trójdzienne, o przekroju trójkąta prostokątnego, złożone z prezbiterium, nawy i przedsionka, nad którym nadbudowana jest wieża. Nad każdą z części góruje oddzielny dach zwieńczony cebulastą kopułą. Wewnątrz świątyni obowiązuje podział na przestrzeń doczesną, przeznaczoną dla wiernych, oddzieloną ścianą ikonostasu od prezbiterium. Asystujący przy nabożeństwie przechodzą przez diakońskie wrota, znajdujące się po obu stronach ikonostasu. Centralnie umieszczone carskie wrota są przeznaczone dla kapłana sprawującego nabożeństwo i otwierane wyłącznie podczas nabożeństw. Nad nawą znajduje się największa kopuła, symbolizująca niebo. Przedsionek pełnił dawniej funkcję babińca – miejsca przeznaczonego tylko dla kobiet, nie mogły bowiem przebywać w nawie. Choć już w XVIII wieku dopuszczano kobiety do pełnego udziału w nabożeństwie, nazwę tę można spotkać do dziś.

Ikony różnią się od obrazów znajdujących się w kościołach katolickich nie tylko pod względem stylu. Wyznawcy wschodniego chrześcijaństwa wierzą, że ikona uosabia postać, którą przedstawia, i jest z nią tożsama.

ZWYCZAJE I TRADYCJE

Odmienność łemkowskiej kultury wyznacza przede wszystkim wschodni obrządek (prawosławny lub grekokatolicki). Na górzystych ziemiach Łemkowszczyzny jej mieszkańcy wykształcili swoje specyficzne zwyczaje i obrzędy, wyróżniające ich spośród polskich sąsiadów. Szczególnie barwne jest składające się z wielu etapów tradycyjne łemkowskie wesele. Rozpoczyna się ono od swatów i zaręczyn, potem następują wieczory kawalerski i panieński. W dzień ślubu w domu panny młodej następuje pożegnanie przyszłej mężatki z rodzicami, a pan młody musi zorganizować wyprawę po swoją wybrankę. Kiedy panna młoda zostanie zdobyta przez orszak pana młodego, przyszli małżonkowie udają się do cerkwi, gdzie następuje ceremonia zaślubin. Po zakończeniu uroczystości pani młoda wraca do swojego domu i następują jej przenosiny do domu męża; tam jego rodzina wita nowego członka. W dalszej części następują oczepiny, czyli nałożenie młodej mężatce czepca symbolizującego stan zamężny oraz włączenie jej do grona innych mężatek. Aby młoda była w pełni przyjęta do nowej rodziny i nowego stanu, prowadzi się ją nad rzekę w celu obmycia. Następnie rodzina pana młodego obdarowuje jego małżonkę i ostatecznie przyjmuje do rodziny. Dopiero wtedy pan młody może zatańczyć ze swoją żoną. Wtedy też pojawiają się goście panny młodej i rozpoczyna się zabawa.

Dwa najważniejsze święta religijne okresu zimowego to Boże Narodzenie i święto Jordanu. Wigilia łemkowska różni się od polskiej nie tylko datą (wypada 6 stycznia według kalendarza juliańskiego), ale i charakterem. Rodzinny wymiar wieczery dopełnia wiara w obecność dusz zmarłych przodków w tym dniu oraz ich szczególna aktywność. W zależności od zamożności gospodarzy przygotowuje się 12, 9 lub 7 potraw wigilijnych, a zamiast opłatka dzieli się prośforą (kwaśnym chlebem liturgicznym) lub specjalnie na ten cel wypiekanymi bułeczkami. Z uwagi na obecność krążących w ten wieczór po izbie dusz zmarłych, należy zachowywać szczególną ostrożność, by ich nie obrazić, nie skrzywdzić, a nakarmić je i napoić, zostawiając resztki z wieczery na wigilijnym stole. Domownicy powinni opasać nogi stołu łańcuchem – by spała rodzinę – a pod stołem położyć ostre narzędzia – by nie zagrażały domownikom, a dawały siłę i bezpieczeństwo.

Bardzo uroczysty charakter ma święto Jordanu (19 stycznia), czyli poświęcenie wód na pamiątkę Chrztu Pańskiego. Poprzedza je wigilia, podobna w swej wymowie do bożonarodzeniowej. Następnego dnia, po porannej mszy świętej, wierni udają się nad rzekę lub strumień, a ksiądz wycina w lodzie kształt krzyża. Obok umieszcza się stół, a na nim kładzie akcesoria niezbędne do poświęcenia wody, między innymi drewniany krzyż i trójramienny świecznik, które następnie ksiądz zanurza w wodzie. Od tej chwili woda jest poświęcona i ma wiele cennych właściwości – kropi się nią zagrodę i obejście, zostawia się też jej nieco na wypadek choroby. Także domowe zwierzęta zostają pokropione, by woda chroniła je przed chorobami.

UBIÓR ŁEMKOWSKI

Strój Łemków nie różnił się znacząco od większości strojów karpaccich noszonych przez górali mieszkających na terytorium Polski, Słowacji, Ukrainy, Rumunii, Węgier. Wyrabiano go dawniej z materiałów dostępnych we własnym gospodarstwie (płótno, len, sukno), z czasem zastępując niektóre elementy materiałami fabrycznymi. To spowodowało ostateczne zróżnicowanie się stroju w zależności od dostępności towarów. Strój Łemków, w porównaniu ze strojem huculskim czy podhalańskim, jest skromny. Na Inianę koszulę, czyli soroczkę, zarówno kobieta, jak i mężczyzna zakładali tzw. lajbyk, czyli rodzaj kamizelki. Łemko zimą nosił brązowe, wełniane spodnie – chołostnie, a latem jasne, lniane nohałky. Na chłodne dni zakładał także czuhę – rodzaj wełnianej kurtki, przeważnie białej lub brązowej, a także używany po północnej stronie Karpat wyłącznie przez Łemków i traktowany przez nich jako etniczny symbol, wyróżniający ich na tle innych górali karpaccich, szeroki, wełniany, brązowy płaszcz z kapturem i zaszytymi rękawami, służącymi jako kieszenie.

Łemkini na białą *soroczkę* zakładała samodzielny *lajbyk* i *hunię*. Bogate gospodynie miały też haftowane kożuszki. Spódnice z samodziału i zapaskę barwiono (tzn. drukowano) ręcznie. Panny nosiły na głowach chustki lub chodziły z gołą głową, mężatki zakładały czepiec, na który wdziewały także chustkę.

Tak jak wszyscy górale karpaccy, Łemkowie nosili kierzce. Tylko najbogatsi gospodarze mieli buty z cholewami.

ŁEMKOWIE WSPÓŁCZEŚNIE

Dziś życie kulturalne Łemków toczy się na Ziemiach Zachodnich i na Łemkowszczyźnie. Wspierają je dwie organizacje: Stowarzyszenie Łemków z Legnicy i Zjednoczenie Łemków z Gorlic. Niezależnie od różnic w zapatrywaniach politycznych (między innymi na przynależność narodową Łemków i kwestie pochodzenia), obie dbają o organizowanie spotkań Łemków i przywracanie do życia łemkowskiej tradycji. Ich wysiłki wspierają rozmaite zespoły pieśni i tańca oraz Muzeum Kultury Łemkowskiej w Zyndranowej. Kilkakrotnie w roku w różnych miejscach odbywają się łemkowskie watry, czyli spotkania członków tej społeczności przy muzyce i ognisku. Skromne początkowo imprezy w Michałowie na Ziemiach Zachodnich oraz w Czarnej i Hańczowej, a później w Zdyni w Beskidzie Niskim stopniowo przekształciły się w wielkie zjazdy Łemków, na które co roku przybywa kilka tysięcy uczestników.

Wielkie zasługi dla podtrzymywania pamięci o łemkowskiej tradycji folklorystycznej, mają zespoły „Łemkowyna” z Bielanki i „Kyczera” z Legnicy. Działalność artystyczna tych zespołów przyczynia się od lat nie tylko do przekazu łemkowskich pieśni i tańców, ale także popularyzuje kulturę i mowę łemkowską wśród potomków wysiedlonych z rodzinnej łemkowszczyzny, żyjących na co dzień w rozproszeniu. Możliwość spotkania sąsiadów, przyjaciół, członków rodziny wiąże się z odradzaniem poczucia przynależności grupowej, szansą przywrócenia pamięci o łemkowskich tradycjach, wierze przodków, ziemi ojczystej i dziedzictwie kulturowym, pozwala w ojczystej mowie wspominać utraconą *Łemkowynę*. Odbywające się koncerty, wystawy, odczyty, projekcje filmów przekazują uczestnikom wiedzę o przeszłości grupy, pozwalając starszym na mentalny powrót w rodzinne strony, a młodszym – na poznanie dziedzictwa kultury łemkowskiej.

Wyrazicielami „łemkowskiej duszy” są współcześnie poeci i pisarze – wśród nich najbardziej zasłużeńi dla łemkowskiej kultury Piotr Trochanowski (pseud. artyst. Petro Murianka), Władysław Graban i Paweł Stefanowski. Bardzo ważnym nurtem w łemkowskiej literackiej autoprezentacji są pamiętniki i relacje wspomnieniowe, które zaczęto wydawać od lat dziewięćdziesiątych XX wieku (w niniejszym zbiorze reprezentowane przez Petra Muriankę, Jarosława Zwolińskiego oraz autorów, których relacje zostały zebrane w wydawnictwie *Z łemkowskiej skrzyni*). Wspomnienia, spisane dla utrwalenia przekazu ustnego funkcjonującego w rodzinach oraz jako świadectwo prawdy, stanowią istotny wkład w zachowanie pamięci o najważniejszych dla Łemków wydarzeniach i postaciach oraz o utraconym świecie beskidzkiej arkadii.

Teksty źródłowe

**łemkowie**małopolska
wielu kultur

Jak powstał mój wiersz

Paweł Stefanowski



Była i jest
nasza ziemia
łemkowsyna
był pra-pra
jest ojciec
i ja
i będzie nasz kraj
zawsze żywy
spraw naszych
ciąg dalszy być musi
tak mówią wygnani
tak mówią Harasym
tak mówią na Rusi
łemkowsy święci
i ja
Z Ikonostasu
wyjdą
bohaterowie nasi

Za: **P. Stefanowski**, *Łemkowsyna*, nakładem własnym autora, Łemkowsyna 1991, s. 15.



łemkowie
•
małopolska
wielu kultur

W łemkowskiej
cerkwi
mieszkają wieki
wnieśli je na ramionach
modlitwy
przodkowie
moi
od Cyryla
Metodego
zostawione
słowa prawdy
jedyniej
wiary
dla Słowian
w cerkiewnym alfabecie
Tam wszyscy
Święci
żyją
w kolorach
z pracy
i ducha
narodu
trwają
w bezruchu
w życiu wiernych
by chronić
jedność
zgodę
w ogródkach
młodych kwiatów
z Łemkowszczyzny
Tam mieszka
pamięć czasu
dla młodych
myśli
chleb
i woda
i ciepło
w kąciku cerkwi
ziarenko nadziei
i ścieżyna
z Jaworek
do Kijowa
dla łemkowskich
dzieci

Za: P. Stefanowski, *Łemkowyna*, nakładem własnym autora, Łemkowyna 1991, s. 27-28.



łemkowie

małopolska
wielu kultur

Urodzeni w Karpatach
na skrzydłach Rusi
z pradziadka Chorwata
w kamiennej kołysce
na wierzchołkach pieśni
wiatrem kołysanych
w Białej Czarnej Wodzie
w Uściu i Komańczy
w Łosiu
Krasnym Brodzie
w świętym słowiańskim
domku
o trzech baniach
z modrzewia
przygarbieni
losu ciężarem
dziś
giną
pod jednoramiennym krzyżem
w białych i czerwonych
światach reflektorów
Nucą pieśni
o skradzionej ikonie
o dawnych wrogach
ich pasterskich czynów
zwrotu żądają
kluczy do furtki
by wrócić do ikonostasu
ale diabeł z aniołem
się uwzięli
i nie pozwalają
Nawet Boh
plecami do Łemków
Jeszcze tylko
skrzydlaty Michał
i Jerzy na koniu
z Łemkami
Daj im Boże zdrowie
i wyższe miejsce w ikonostasie
by bezbronnych bronili zawzięcie

Za: P. Stefanowski, *Łemkowyna*, nakładem własnym autora, Łemkowyna 1991, s. 7.



łemkowie

małopolska
wielu kultur

Do Polaków

Paweł Stefanowski

Nie robię na zamówienie
 trzymam fantazji mej cugle
 wśród szmerów
 niedojrzałych liści
 w zaroślach
 dziwnych ciemnych krzewów
 szukam ścieżyny
 bratniego serca Polaków
 rodzimego serca
 Łemkom
 Idę do dębów Lechity
 z biblią
 łemkowskich wieków
 tłum mały
 mnie wchłania
 ścieląc lipowe kłody
 w wielki tłum się stacza
 Idę
 do dębów
 z dębową gałązką Drzymały
 zwykły
 szczery
 mały

Za: P. Stefanowski, *Łemkowyna*, nakładem własnym autora, Łemkowyna 1991, s. 50.

Paweł Stefanowski, urodzony w 1932 roku w Bielance na Łemkowszczyźnie, poeta, animator kultury, jeden z najaktywniejszych i najbardziej zasłużonych dla środowiska Łemków działaczy, wszechstronnie utalentowany. Z wykształcenia etnograf, z zamiłowania choreograf, przez lata instruktor tańca w zespole „Łemkowyna”, kustosz prywatnego muzeum kultury łemkowskiej w Bielance, w którym zgromadził uratowane przed zniszczeniem pamiątki łemkowskiego rzemiosła oraz liczne dokumenty. Prowadził również działalność polityczną na rzecz uznania Akcji „Wisła” za bezprawną i zadośćuczynienia jej ofiarom oraz zwrotu lasów. Wydał wiele zbiorów wierszy, z których liczne dostały się do stałego repertuaru łemkowskich zespołów. Zasadził się również jako folklorysta, przez lata zbierając łemkowskie pieśni, oraz jako organizator życia kulturalnego Łemków.

Przywołanie

Władysław Graban

W górach kiedy zaświeci słońce
 to jakby matka rozpromieniona
 posłała uśmiech niemowlęciu
 tyle ciepła w jej oczach
 w źrenicach świtu
 nad połonią
 Świerkowa kotyska pełna szczęścia
 pełna wiatru gór
 igliwia i mchów dzieciństwa
 Ponad piersi Beskidu
 wietrze wiej
 zaprowadź mnie tam
 gdzie dzwonu echo
 w przejrzystej kuli światła
 pomiędzy niebem a ziemią
 gdzie ptaki zwołują żywych
 na wieczerzę
 Może przyjdą Łemkowie
 zdolają dostrzec
 puste ścieżki
 w zamglonym tysiącleciu

16 września 1994

Za: W. Graban, *Rozsypane pejzaże. Poezje*, wydano staraniem Towarzystwa na Rzecz Rozwoju Muzeum Kultury Łemkowskiej w Zynbranowej k/Dukli, Krynica 1995, s. 34.

Szukam cię od lat
od narodzin
noszę twoje znamię
i ciągle jesteś odległą
a jakże bliską

A może wystarczy
wyciągnąć dłoń
i zanurzyć
w chłodnych trawach połonin
by sprawdzić
że twoje serce bije
dla nas
obok

27 lutego 1995

Za: **W. Graban**, *Rozsypane pejzaże. Poezje*, wydano staraniem Towarzystwa na Rzecz Rozwoju Muzeum Kultury Łemkowskiej w Zyndranowej k/Dukli, Krynica 1995, s. 36.



łemkowie

małopolska
wielu kultur

Łemku
rodzinna ziemia woła
gdzie dzikie chaszczce
gdzie ślady domostw
pozostały
siedliska nowe wznosicie
Na wzgórzach płonie ogień święty
pradziadów waszych
na połoniny skrzydłach śpiewnych
jest miejsce tam dla żywych
w muzyce słowa
powroty
Woła was ziemia bracia
w siną obręcz lasów
w zielone
podniebne Karpaty

Za: **W. Graban**, *Rozsypane pejzaże. Poezje*, wydano staraniem Towarzystwa na Rzecz Rozwoju Muzeum Kultury Łemkowskiej w Zyndranowej k/Dukli, Krynica 1995, s. 37.



łemkowie

małopolska
wielu kultur

Wierchy w śniegach stoją
 jak panny młode
 przed ołtarzem Wszechmocnego
 komunię świętą ze źródeł przyjmują
 jutro
 w lód go zamieni mróz sinobrody
 na zimowy skobel*
 królewskie wrota zamknie
 by wichry
 nie zgasiły świec
 płonących gorącym sercem Łemka
 Boże
 ustrzeż ten ogień nadziei
 kolbami zbrojnie obity
 Boże
 Łemkowyna** to wielka cerkiew
 rzędy krzyży
 cmentarze
 kielich nieboskłonu siny
 Tu w każdym miejscu
 ikonostas lasu
 zanoszą modły
 za ludzi
 bez ludzi

* *skobel* – zamknięcie, zasuw

** *Łemkowyna* – łemkowska nazwa Łemkowszczyzny

Za: **W. Graban**, *Rozsypane pejzaże. Poezje*, wydano staraniem Towarzystwa na Rzecz Rozwoju Muzeum Kultury Łemkowskiej w Zyndranowej k/Dukli, Krynica 1995, s. 12.

Łemkowie, jak ptaki – rozpędzeni
 nie wrócą do swoich gniazd
 nie znajdą pieśni, która wiedzie
 w zieloną obręcz gór

A tu – każdy wierch woła
 otwartym skrzydłem lasu
 niesie pieśń pradziadów
 dzwoni serce wodospadem skał

Miedze schodami w niebo wiodą
 idziesz do góry – za krokiem krok
 tu na tych wierchach nic nie trzeba
 otwiera ramiona – Łemkowski Bóg

Wy nie wróćcie do tej ziemi
 tam pośród piasków pięćdziesiąt lat
 błędzicie ptaków cieniem
 we mgłę zastanie was tam świt

Tu w górach, na wszystkich wierchach
 niesiesz w wysokim hołdzie czoło
 i słońce grzeje serce szybciej
 z nocy staje nowy dzień

Za: **W. Graban**, *Rozsypane pejzaże. Poezje*, wydano staraniem Towarzystwa na Rzecz Rozwoju Muzeum Kultury Łemkowskiej w Zyndranowej k/Dukli, Krynica 1995, s. 55.

Władysław Graban, poeta, prozaik, fotografik, działacz, tłumacz. Urodził się w 1955 roku w Kostomłotach na Dolnym Śląsku, dokąd jego rodzice zostali wysiedleni podczas Akcji „Wisła”. Po powrocie z wysiedlenia mieszkał w Gładyszowie, od wielu lat jego domem jest natomiast Krynica, gdzie angażuje się w działalność na rzecz zachowania łemkowskiej kultury, organizując zapoczątkowaną przez siebie „Łemkowską Jesień Twórczą”. Współorganizował pierwsze łemkowskie watry (w Czarnej, Hańczowej i Bartnem) oraz „Od Rusał do Jana” przy Muzeum Kultury Łemkowskiej w Zyndranowej. Zainicjował i prowadził rocznik tegoż muzeum „Zahoroda”, obecnie natomiast prowadzi pismo „Nasza Zahoroda”, w którym publikuje utwory współczesnych łemkowskich twórców. Tłumaczy także poezję twórców ukraińskich, sam również wydaje na Ukrainie. Uhonorowany przez Ministra Kultury i Sztuki złotą odznaką „Zasłużony działacz kultury”.

Gdzież wy

Petro Murianka

Wierchy kędzierzawe
radości boląca
promieniem duszy
ogrzana
potokiem dum wypłuskana
wiatrem marzeniem wypieszczona
Radości moja kędzierzawa

Dolo garbata
ośle dziki zaciekły
Dęba w poprzek stajesz
chaszczami tarninami
i jeszcze pod górę
Dolo moja zawzięta

Niebem duktem
latami milami
doganiam was
prawdą
jak sokół wody na kamieniu
z sercem niczym dziób otwartym
nie znajduję
spragniony

Za: **P. Murianka**, *Jak sokół wodę z kamienia*, przeł. B. Dohnalik, Iskry, Warszawa 1989, s. 9.



łemkowie

małopolska
wielu kultur

Popielisko

Petro Murianka

Jak motylki trzepotliwe
dni przeleciały

Młodość
szaflik bez denka
próżna
znaku po sobie nie zostawiła
nadchodzącym dniom

A gdzież są nadzieje
które pełna zapалу dusza hodowała

Dokąd żyć będzie sążzone
będą się popieliły
W młodości nieobjęte
być może w garści się zmieszczą

Za: **P. Murianka**, *Jak sokół wodę z kamienia*, przeł. B. Dohnalik, Iskry, Warszawa 1989, s. 67.

Tuż przed zimą

Petro Murianka

Święty Michał
na siwym koniu przyjechał
(przypowieść ludowa)

Siwieją dni
siwieją duszy stare sny
leniwe były
starzały się siedziały
niezbyt spełnić się chciały

Siwieje świat
po górach Michał sypie śniegiem
siwa głowa
sto któryś raz znów od początku
w zadumie czyta życia księgę

Za: **P. Murianka**, *Jak sokół wodę z kamienia*, przeł. B. Dohnalik, Iskry, Warszawa 1989, s. 71.



łemkowie

małopolska
wielu kultur

Nade wszystko chciałbym

Petro Murianka

Chciałbym raz jeszcze
matki ręce
wargami uszanować

Chciałbym raz jeszcze
powiedzieć żonie
o wiernej miłości

Chciałbym raz jeszcze
sokolęta moje
do snu ukołysać

Chciałbym raz jeszcze
smyczek Jarosława zobaczyć
jak wiedzie do boju
„Łemkowynę”

Chciałbym raz jeszcze

Nade wszystko chciałbym
płacz niemowlęcy usłyszeć
nowo narodzonej
mojej
Łemkowyny

Za: **P. Murianka**, *Jak sokół wodę z kamienia*, przeł. B. Dohnalik, Iskry, Warszawa 1989, s. 137.



Święty Mikołaju

Petro Murianka

Święty Mikołaju
po całym świecie chodzisz
podarki rozdajesz
nie ominiesz żadnego kraju
a tu próg biedny
z buku ciosany
najbardziej tobie rad

I serce masz tak wielkie
że go wystarczy
dla wszystkich

Przychodźże do nas zawsze
jak i tysiąc lat temu
już wczoraj
jak dziś
Na wielkich
białych saniach
Jak śnieg nadzieję białą wieź

A my
dziateczki Łemkowyny
wdzięczności pełne garście
bo to nikt na nią nie zasłużył
tobie oddamy

Za: **P. Murianka**, *Jak sokół wodę z kamienia*, przeł. B. Dohnalik, Iskry, Warszawa 1989, s. 133.



Mój wiersz

Petro Murianka

Wejdę do ciebie mój wierszu
i drzwiczki zatrzasnę
i nikt nie będzie widział
i nikt nie zrozumie
co się w tobie dzieje

Rozdarłej duszy czuhę
na ciebie zarzucę
Przed kosym okiem zwierzyny
i przed szczerym Człeczyną

I będziesz tylko mój
i niczyj więcej
Od najboleśniejszego bólu
boleśniejszy

Za: **P. Murianka**, *Jak sokół wodę z kamienia*, przeł. B. Dohnalik, Iskry, Warszawa 1989, s. 61.

Droga

Petro Murianka

Gdybym na psy zszedł
byłbym architektem

Łemkiem zostałem
ludzie zwą mnie poetą

Za: **P. Murianka**, *Jak sokół wodę z kamienia*, przeł. B. Dohnalik, Iskry, Warszawa 1989, s. 95.



Łemkowski krzyż

Petro Murianka

Rozpięty na siedem stron świat
z krzykiem wiatru w ranach
ponad trzydzieści trzy lata
tak czekasz

I na pewno już nie pamiętasz
gdzie *desme ramia** twoje
gdzie *szuje***
gdzie ojciec
a gdzie syn

Jedno nie ulatuje z pamięci
Amin

* *desme ramia* – prawe ramię

** *szuje* – lewe

Za: **P. Murianka**, *Jak sokół wodę z kamienia*, przeł. B. Dohnalik, Iskry, Warszawa 1989, s. 45.

Bezideowy wiersz

Petro Murianka

Czy pora pora
czy to śmierć śmierć
czy spiż nieporuszony
czy Boże chroń
i jeszcze na dodatek
jak Cyganowi na weselu
każą ci synku śpiewać
śpiewaj

To jeno synku wiedz
że prawd tysiące
Łem...
tylko Łemkowyna
jedna

Łem...

Za: **P. Murianka**, *Jak sokół wodę z kamienia*, przeł. B. Dohnalik, Iskry, Warszawa 1989, s. 129.



Beskidzie mój
jak dola garbaty
jak wola mocniejszych
skamieniały

Boli mnie uroda twoja
w niewolę wzięta
na pokaz wystawiona światu
dla nas cośmy ją wiernie w sercach dotulali
przez wieki nieśli
ku dniom równości
spisami zagrodzona

Boli mnie serce Beskidzie
dla ciebie
w Wielkiej Księdze
bić mu zabroniono
Imię jej
Humanitas

Za: **P. Murianka**, *Jak sokół wodę z kamienia*, przeł. B. Dohnalik, Iskry, Warszawa 1989, s. 7.



Petro Murianka (właśc. Piotr Trochanowski), poeta, prozaik, publicysta, tłumacz, redaktor. Urodził się w 1947 roku w miejscowości Parchów na Dolnym Śląsku i jest, jak sam podkreśla, równolatkiem Akcji „Wisła”. Jego rodzice pochodzili z miejscowości Binczarowa na Łemkowszczyźnie. Obecnie mieszka w Krynicy. Jest jedną z najważniejszych postaci łemkowskiego ruchu kulturalnego. Jest autorem kilku tomików poezji, antologii poezji (w tym dla dzieci) i pieśni łemkowskich. Redaguje pisma „Besida” i „Lemkivskij ricznyk”, prowadzi działalność pedagogiczną i artystyczną. Przez lata był członkiem zespołu „Łemkowyna”, zasiadał w zarządzie Stowarzyszenia Łemków z Legnicy, był współorganizatorem pierwszych łemkowskich wiatr (w Czarnej, Hańczowej i Bartnem), a obecnie współorganizuje „Watry na Obczyźnie” w Michałowie. Jest laureatem wielu nagród i wyróżnień.

Problem łemkowski od wielu już lat absorbuje badaczy. Zagadnieniem tym zajmują się zarówno osoby posiadające odpowiednie przygotowanie, jak i niezrzeszeni, którzy wyrażają bardziej swoje odczucia i przeczucia i do rozwiązania ww. problemu raczej się przyczyniają.

Słowo „problem” zostało tutaj użyte celowo, gdyż badacz, zajmujący się Łemkami, na każdym kroku napotyka na zagadki i pułapki. Kim są Łemkowie?

Skąd się wzięli? – chce wiedzieć etnolog. Czy Łemkowie to odrębny naród, czy grupa etniczna? – zapytuje socjolog. Pytania się mnożą. Odpowiedzi także. Niewiele jednak nadaje się do druku. Przyczyną takiego stanu jest przede wszystkim niezajomość sprawy, błędne postrzeganie rzeczywistości oraz mylne wyobrażenie co do własnej mądrości.

Celem niniejszej pracy jest przedstawienie zagadnienia łemkowskiego w zupełnie nowym świetle i uporządkowanie dotychczasowych wyników badań. Autor nie ma, oczywiście, ambicji odpowiedzenia na wszystkie pytania. Jednakowoż poczuwa się w obowiązku do podzielenia własnymi spostrzeżeniami, opartymi na nie publikowanych, pomijanych i nie wydanych do tej pory dokumentach historycznych.

POCHODZENIE

Otóż, zaczęło się wszystko od zakładu. W czternastym wieku, w pewnej karczmie na Bałkanach, doszło do kłótni o to, jak daleko jest do Gorlic. Jednym ze sprzecających się był Krzysiek, który twierdził, że nie jest daleko. I założył się o swojego brązowego cielaka, że ma rację. No, ale musiał to jakoś udowodnić...

Następnego dnia Krzysiek wyruszył do Gorlic. Zebrał ze sobą swoją dziewczynę, brata Piotra i paru dalszych kuzynów.

W tym miejscu należy od razu wyjaśnić kwestię wołoskiego pochodzenia Łemków. Otóż, Krzysiek miał na nazwisko Włoch. I tak też najczęściej się do niego zwracano. Jednakże z czasem (podróż do Gorlic trwała długo) pomiędzy „w” a „ł” wkradła się litera „o”. Dokładnie nie wiadomo, dlaczego tak się stało. Może przyczyną było zmęczenie wołających, a może złośliwe echo?

Faktem jednak jest, że zaczęto na Krzyśka wołać Wołoch, a na jego rodzinę – Wołosi. Tak więc element wołoski, to w rzeczywistości element włoski. Natomiast pasterstwo, tak często łączone z Wołochami, nie ma nic wspólnego z wypasem owiec. Wiąże się ono z porównaniem Krzyśka do pasterza, który dba o swoje owieczki i prowadzi je do Gorlic.

Oczywiście, że Włosi (czy też Wołosi) nie byli jedyną grupą, która formowała Łemków. W czasie wędrówki dołączyli i inni, znęcani możliwością łatwego zarobku. Grup tych naliczyłem co najmniej 95. Tutaj opiszę jednak tylko kilka, najważniejszych.

Na samym początku swej wędrówki kompania Krzyśka natknęła się na Cyganów. Jechali oni wprawdzie w przeciwnym kierunku, jednak po usilnych prośbach dziewczyny Krzyśka, zgodzili się towarzyszyć im przez jakiś czas i grać na skrzypcach. I tak zostali. Na zawsze. Łemkowie mają po nich muzyczne zdolności i ciemne włosy.

Parę dni po spotkaniu z Cyganami pochod został zatrzymany przez protestujących chłopów rumuńskich. Po długich pertraktacjach i zapewnieniu, że nie przewożą taniego zboża, Krzyśkowi udało się uzyskać zezwolenie na przejazd. Jednocześnie wielu zdesperowanych Rumunów i Arumunów przyłączyło się do marszu, twierdząc, że nie mają nic do stracenia. A że do jednego chłopca przyjechała rodzina z Albanii, która również podążyła za Krzyśkiem, w łemkowskich żyłach płynie także pewien procent albańskiej krwi. Łemkowie mają po nich skłonność do hazardu.

Kolejnym elementem stali się Szwedzi. Byli to zwiadowcy armii szwedzkiej, którzy przygotowywali załanie Polski. Jednakże z powodu zmiany w dowództwie armii zostali zapomniani. I tak trwali na posterunku bez nowych rozkazów. A że nadarzyła się okazja, by odmienić swój los, to go odmienili. Powędrowali z taborem. Łemkowie zawdzięczają im niebieskie oczy i jasne włosy.



Którejś nocy przy akompaniamencie gwizdów, wycia i okrzyków łołotooooo-łołotooooo, przycwałowali Indianie na bizonach. A że nie mieli złych zamiarów, zostali ciepło przyjęci. No i podążyli za Krzyśkiem. Byli to przede wszystkim Komańcze, którzy zamieszkali później w Komańczy oraz paru Szoszonów, którzy rozeszli się po całej późniejszej Łemkowszczyźnie. Łemkowie mają po nich długie włosy i czapkę z piór.

Przez długi czas nie wiedziałem, jak wyjaśnić w pochodzie obecność Eskimosów. Po długich badaniach gwiazd, stwierdziłem jednak z całą pewnością, że spadli z księżycy. I tak już zostało. Łemkowie mają po nich parę futer.

Należy, oczywiście, wspomnieć o elemencie polskim. Otóż, drużyna Krzyśka, po przybyciu w okolice Gorlic, zastała tam osadnictwo polskie, które było tam od początku. I pewnie byłoby dalej, gdyby nie porywczy Siedząca Strzała. Wszystkich wygonił. Ale co z tego. W nocy nie rozstawiono straży i większość Polaków wróciła. Wyrzucili z łóżek drużynników Krzyśka i zajęli ich miejsca. Kobiety nic nie zauważyły. I tak zostało. Łemkowie mają po nich ziemię i literę „p”. I nie należy o tym zapominać.

Nie sposób, rzecz jasna, opisać wszystkich grup, składających się na Łemków. W czasie długiego marszu przyłączali się coraz to nowi osobnicy. Nie obowiązywała przy tym szczególna procedura. Krzysiek zapytywał: Hu-hu! Kto wy? Swoi – odpowiadano. To chodźcie z nami – dodawał Krzysiek. No i szli. Początkowo każda grupa szła oddzielnie. Wszyscy byli grzeczni, trzymali się za ręce. Jednak z czasem doszło do wymieszania. Ktoś poszedł pożyczyc trochę cukru i już nie wrócił. Szwed złapał za rękę Rumunkę i już nie puścił. Powstała mieszanka.

JĘZYK

Jak już wcześniej wspomniałem, na Łemków składało się co najmniej 95 grup. I każda posługiwała się własnym językiem. Trzeba było więc coś z tym fantem zrobić. Po długich naradach postanowiono wrzucić wszystkie języki do kotła i wymieszać. I wymieszano. I powstała mieszanka. Łemkowie nie mają więc własnego języka. Mają 10000 słów albańskich, 30000 rumuńskich, 23499 japońskich, 9999 polskich i dalej nie chciało mi się liczyć.

W tym miejscu należy wyjaśnić, skąd wzięła się nazwa Łemkowie. Uważa się powszechnie, iż pochodzi ona od słowa „łem”, które znaczy „tylko”. Jest to bzdura.

Otóż, Krzysiek wołał często: hej, hej! A że miał wadę wymowy i nie wymawiał „h” i „j”, lecz „ł” i „m”, to wychodziło mu łem, łem! I z czasem pokrzykującego Krzyśka i jego gromadę zaczęto określać: Łemkowie. Co w rzeczywistości oznacza Hejkowie. Ale tak już zostało.

Jeśli już jesteśmy przy nazwie, to chciałbym dodać, iż zastanawialiśmy się z kolegą, czy by nie nazwać Łemków Pożyczalskimi, gdyż są nimi w istocie. Pożyczyli krew, pożyczyci język, jak zobaczymy dalej, pożyczyci strój. No, ale na razie daliśmy spokój. Zobaczymy.

STRÓJ

Odzież, w której wyruszyli Krzysiek i jego drużyna, bardzo szybko się zdała. Podróż była długa i ciężka. Trzeba było więc pożyczać po drodze. To buty, to spodnie. Wszystko miano, oczywiście, oddać w drodze powrotnej. Z powrotem jednak nikt nie wrócił. I tak już zostało. Pożyczone. A swoją drogą, to nieładnie tak, pożyczać a nie oddawać.

GRANICE

No cóż, granice są albo naturalne, albo sztuczne. Jeżeli idzie o Łemkowszczyznę, to granica południowa i zachodnia nie budzą większych wątpliwości. Na granicę północną też, właściwie, moglibyśmy przystać. Ale już z granicą wschodnią jest większy problem. No, bo jej nie ma. Łemkowie nie postawili słupków granicznych. I teraz to mogą sobie tylko w brodę pluć.

GRUPA CZY NARÓD?

Kim są Łemkowie dzisiaj? Zanim odpowiem na to pytanie, chciałbym uzmysłowić wszystkim, że jeśli w czternastym wieku w pochodzie maszerowało co najmniej 95 grup, to obecnie grup tych jest 3579. Tutaj wymienię tylko kilka, najistotniejszych.

Już w czasie marszu wyodrębniła się grupa Zakrzyków. Nazwa ta wzięła się od częstego pokrzykiwania: Za Krzyśkiem! Naprzód, za Krzyśkiem! Grupa ta ma silne poczucie odrębności grupowej, a z innymi grupami utrzymuje stosunki.

We wsi Konieczna występują Lewospacze. Mają oni zwyczaj spania na lewym boku i stąd nazwa. Zaraz obok, w Żdyni, występują Chrapacze. Nazwa pochodzi od zwyczaj

chrapania podczas snu. Grupy te mają silnie rozwinięte poczucie odrębności grupowej, a stosunki utrzymują sporadyczne.

Ciekawa grupa występuje we wsi Przegonina. Są to Pupaki. Zaobserwował ich i nazwę im nadał mój kolega. Otóż, podczas jednej ze swych wycieczek chciał rozwiązać problem pochodzenia Łemków. W związku z tym zapytywał napotkanych chłopów: Skąd się wzięliście? Jeden z bardzo rezolutnych respondentów odpowiedział: Z druhom diry h pupi. (a fuj – dopisek mój). Pupaki znają swoją wartość. Trzymają się prosto.

Kogo by tu jeszcze opisać? No, na pewno bardzo interesujący są Cycaki, Stojaki, Ciemniaki. Ale nie chodzi przecież o wymienienie i opis ich wszystkich. Istotne jest, że Łemkowie są różni. Stwierdzenie to może pomóc w odpowiedzi na pytanie postawione na wstępie tego punktu. Ja, mając to na uwadze, posłużę się metodą, która, według mojego kolegi, jest niezwykle skuteczna. Pozwala na pomiar z dokładnością do 0,001 sekundy. Orzeł czy reszka? Orzeł – są Łemkowie narodem, reszka – nie są. Rzucam. Leci. Obracam się, moneta też. Napięcie rośnie. Spada – moneta. Toczy się. Jest. Reszka... *Roma locuta causa finta*.

Za: **P. Ksenicz**, *Łemkowie w pytaniach i odpowiedziach*, *Ци то лем туга, ци надія. Антологія повиселенной лемківської літератури в Польщі. [Czy to tęsknota, czy nadzieja. Antologia powysiedleńczej literatury łemkowskiej w Polsce]*, wybór, redakcja, teksty wstępne H. Duć-Fajfer, Stowarzyszenie Łemków, Legnica 2002, s. 448-451.



[...] Nad Szprotawą, jakiś kilometr w górę rzeki, stał Pałac. Piszę go dużą literą nie przez szacunek, ale dlatego, że był niczyj, niech więc to będzie jego imię własne. Mówił mi brat, na pewno mi mówił, choć powtarzał mi to i ojciec, kiedy jeździliśmy do ciotki Sandry, że w Pałacu mieszkaliśmy jakieś dwa tygodnie, zaraz po przyjeździe z gór. To było nie do zniesienia, mieszkać w tym Pałacu. Nie z jakichś arystokratycznych uprzedzeń, bo po mieczu pobrzmiwała w nas pamięć o bojarskim pochodzeniu. Nie dlatego też, że miał tylko przerażające otwory zamiast okien, bo dom, do którego później przyszliśmy, w którym przyszedłem na świat, również miał tylko otwory zamiast okien. Pałac przytłaczał nas swoim ogromem. Matka gotowała *poładunok*¹ na podwórzu przed Pałacem, na ułożonym z cegieł „piecyku”. Nie wiem, co wrzucała do garnka. Tego mi ani mama, ani tato nie opowiedzieli i już nie opowiedzą. Nie wiem, co wtedy jedliśmy. To był gorący lipiec, grzyby jeszcze nie rosły. Zaczęły rosnąć jesienią. Niesamowite! Ludziska nie przynosili ich w koszach, przywozili wozami. Niesamowite! Podobno tej samej jesieni w Górach grzyba nikt nie uświadczył. Lachy mówiły, że grzyby poszły z Rusinami. Może i poszły, kto ich tam wie, może posiała je Jarynka, może przybyła na jesiennej chmurze i je posiała, choć przecie jesień to nie jej czas. Może choć przyroda chciała nam pomóc. Wtedy, kiedy pracować trzeba było jak *zagrodniki*², cały dzień za wiaderko kartofli. Wtedy, kiedy nie mieliśmy swojego, choć swoje mieliśmy. Mieliliśmy...

Chodziliśmy do Pałacu z Jarostawem, Olcią i Naścią, to znaczy – ja za nimi biegłem. Łaziliśmy po ogromnych komnatach, tak ogromnych, że w niejednej z nich zmieściłby się cały nasz dom. Tylko do piwnic nie wchodziliśmy. Zaglądaliśmy tylko w przepastne ciemności z obawą, że mogą tam być Niemce. Nie wiem, doprawdy, czemu tak obawiali się ich ludzie, przecie gdyby byli tacy straszni, nie chowaliby się w piwnicach. Poza tym tato tak fajnie o nich opowiadali, to znaczy nie o tych prawdziwych Niemcach, a o tych normalnych. Pracował u nich wiele lat, nawet śmiesznie mówił po ichniemu. Mówił, że... Zresztą tego jeszcze dobrze nie pamiętam, opowiem, kiedy będę duży i trochę mądrzejszy. [...]

Postawiła się mama na Wojennym. Z wielką krwawicą. Ale jakże tu pięknie było. Kiedy wzeszło słońce, gdzieś stamtąd, znad Uścia Ruskiego, znad uściańskiej Homoli, jego promienie odbijały się od wojeńskich jedlic i siadały na samym podwórzu. Boże, czy dałeś jeszcze komuś takie ciepło, takie swoje, najcieplejsze ciepło?

Widać stąd było calutką Biłcarewę. Jak tylko rozzieleniła się jar-wiosna, wieś wyglądała jak wielki wielkanocny kosz przybrany barwinkiem, a kiedy zakwitły czereśnie, przybrała się Biłcarewa jak *mołodycia*³ do ślubu, falbankami się sparta przed kopulastym Diłem, zaszeleściła spełnieniem akuratnie poprzy samej cerkwi. Jak mołodycia, do ślubu... Boże, komu nie dałeś jeszcze takiego ciepła, o kim zapomniałeś? Lata mijają, uciekają, jak ta wodyczka Pereliskami, jak woda Biłcarkami do Białej floryńskiej, a Ty, Boże?... Nie, Tyś Wielki, Tyś Dobry, Tyś Sprawiedliwy. Pójdę, zapytam Twojego świętego Psalterza, może nie spłyną te lata, tak – do czysta, do cna? Pójdę ubieram wielki kosz malin i pobiegnę górami... i zapytam, co powie mi Psalterz...

I pobiegła matka przez Ubcz do Kamianej, ponad Berest, prosto do Krenicy, do Capka, z koszem malin – żeby wyłożył jej wszystko, co zapisane w Psalterzu.

– Przyszłam – mówi, a ja słucham pochylony nad jej wezłowiem – przyszłam przed Capków dom, a tam narodu... młodzi, starsi i jeszcze starsi. Kulawi, garbaci, pokrzywieni, zgięci we dwoje... i wszyscy z pełnymi koszami. „Boże – pomyślałam – czy to doprawdy tyle niedoli na tym świecie? Cóż ja tu robię, młoda i zdrowa?” I miałam już odejść, Nie za to, żebym nie wierzyła Świętemu Psalterzowi, ale że niedola moja wydała mi się taką małą. Smutną, ale przecie – taką małą. I wtedy wyszedł Capek i wypytał wszystkich, skąd przybyli. I wezwali kobiety z Jaworek, bo była z najdalsza, a potem mnie...

¹ poładunok, połudenok (łem.) – obiad [przyp. Patrycja Trzeszczyńska].

² zagrodnik – chłop, który posiadał przydział ziemi niewystarczający do wyżywienia rodziny i najmował się do pracy [przyp. P.T.].

³ mołodycia (łem.) – panna młoda [przyp. P.T.].

„Ja, ja...”

„Nic nie mów, kobieto, otwórz Psalterz”.

Ręce mi drżały, brzegi Psalterzowych kartek aż paliły opuszki palców. Otworzyłam. Capek na chwilę się tylko zadumał i rzekł:

„Wiele już przeszłaś, kobieto, i wiele jeszcze przejdiesz, ale dochowasz się dwóch synów i w wielkim szacunku będą ich mieli ludzie”.

I nie wziął moich malin, choć razem z koszem chciałam je zostawić. Kazał je sprzedać panom na deptaku. I kazał bym sobie kupić piękną *tebetówkę*⁴, do cerkwi. I sprzedałam maliny, nim do deptaku doszłam i kupiłam piękną tebetową chustkę – wszystko jak kazał. I pognałam górami... niby ziemi nie dotykałam stopami, niby mi skrzydła sokole przypięły dobry Bóg... „Dochowasz się dwóch synów...” Ani się nie spostrzegłam, kiedy już byłam na Wojennym...

Kochała matka Wojenne, bardzo kochała, tęskniła za Wojennym przestraszenie. I z tego kochania, z tego tęsknienia zrodził się ten wielki szum w głowie, większy od huku Sochowa po wielkiej burzy.

Tato chyba nie umiał tak tęsknić. On zawsze był jak ten Sochów, jak burza. Wiecznie grzmiał, wiecznie gwał, mało mu dnia było. Nie mogłem się go nigdy doczekać. Żeby mnie wziął na kolana, żeby zaczął opowiadać o Żydach, o Cyganach, o dziadach-obedrańcach i jak im chłopaki na pokość robili. Kiedy opowiadał – naśladował swoich bohaterów, zostawiał swój głos i mówił ich głosem, każdego tembrem, piskiem, jękaniem. Jeśli opowiadał o lesie – znowu ćwierkał, czwirlikał, kukał, huknął. Jeśli śpiewał, pięknie śpiewał, było w tym tyle wesołości, radości. Było tego wszystkiego tyle – jakby to się naprawdę działo w tym dalekim kraju, o którym opowiadał. Jakby nic a nic się nie zmieniło. Mama śpiewała chyba jeszcze piękniej, jeśli już śpiewała, kiedy powrócił taki czas. Ale i tak – w pieśniach mamy był tylko smutek, sam smutek, od rana do wieczora – tylko smutek. Jak gdyby na to wszystko, co naopowiadał tato, legła mgła, ciężka, wilgotna mgła, na cały dzień, od rana do wieczora. Chyba wyraźnie za ciężka, za wilgotna dla mnie. Wtedy. Wtedy właśnie, kiedy wracał do domu tato, z pola, z lasu, z Lubina – gdzie najpierw chodził, a potem jeździł rowerem, tak czekałem, tak bardzo czekałem – żeby mnie wziął na kolana i zaśpiewał, tak jakby się talary sypały, z brzękiem, z błyskiem:

*Iwanku, Iwanku, zbijnycij Iwanku,
Tyli-s roczky chodyt – de-s piniażky podit?
Jedny jem prohulał, druhy jem propyjał,
Treti jem pid typku zelenu zakopał.⁵
[...]*

Nie mogę wam powiedzieć, tak na mur-beton – gdzie zapamiętałem, choć pewnie już w Trzmielu – tę piosenkę, choćby – tę. I w ogóle – za daleko się chyba zagnałem. Bo wcale nie jestem jeszcze w Trzmielu, jeszcze w Parchocinie tyle zostało, o jeju – ile zostało, tyle się stało. Może nie wszystko, na pewno nie wszystko, może nawet całkiem mało zapamiętałem ja sam. Ale przecie jest to we mnie, i do swego czasu zawsze będzie. I muszę Wam to powiedzieć, no bo – muszę!

To było na Wielkanoc, właściwie – na *Wetykden*⁶, na pierwszy Wetykden na tej ziemi. A że Wetykden wszędzie jest wielki (przecież za to tak się i nazywa) – poszła mama z koszem do cerkwi, do Michałowa. Do tej cerkwi, zrobionej z karczmy, tam gdzie gilzą armatnią dzwonili. Poszła mama do cerkwi, bo trzeba było poświęcić to pierwsze wielkanocne jądło, ale bardziej chyba jeszcze za to, że tęskniła za cerkwią, za tym śpiewem wielkim *Chrystos woskrese*⁷,

⁴ tebetiwka, tebetywka (łem.) – chustka z płótna tybetowego [przyp. P.T.].

⁵ Iwanku, Iwanku, zbójnicki Iwanku, tyleś roczków chodził – gdzieżeś pieniążki podział? Jedne przehulałem, drugie przepijałem, Trzecie pod zieloną lipką zakopałem [tłum. P.T.].

⁶ Wetykden (łem.) – łemkowska nazwa Wielkanocy [przyp. P.T.].

⁷ *Chrystos woskrese* – „Chrystus zmartwychwstał”, używane nie tylko w pieśniach, ale również przy powitaniu w okresie Wielkanocy [przyp. P.T.].



który wydobędzie się z ludzkich dusz i popłynie górami... Nie – nie górami, ale przecież popłynie. I przywoła, na pewno przywoła nadzieję – że wszystko może się odrodzić. Chrystus zmartwychwstał i kiedy zobaczy, kiedy usłyszy, że nawet tu – na tej dalekiej, niedobrej ziemi nie zapomnieliśmy o Nim, na pewno da nadzieję, ulży jej bólowi, weźmie z głowy ten wielki szum, jak huk Sochowa w czas wielkiej burzy.

Do Michałowa było dobre dwadzieścia kilometrów. Poszła tam mama z ciotką Sandrą i z koszami wielkanocnymi. Poszły pieszo, bo tato jeszcze nie kupił Kuby, ani wujek Stefan Gniadego. Zaprzęgaliby może do wozu Łysawę i Styjanę, choć przecie nigdy do takiej drogi je nie zaprzęgaliby, tylko do pola. Ale Łysawa już była chora, łzawiła, i gdyby umiała mówić – powiedziała by na pewno, że i ona ma w głowie ten wielki szum. A po drugie – co by powiedzieli ci, no – ci, nie wiem, jak ich nazwać, gdyby wiedzieli, że Rusini do cerkwi na Wetykden krowami jadą... Poszły obie Sandry leśnymi drogami, przez Nową Wieś, przez Trzmiel. Tu, w połowie drogi, wiedziała matka, że spotka brata Władymira i jeszcze dużo swoich, z koszami. Ale już po paru kilometrach buty okazały się bardziej ciasne niż były. I kosz wielkanocny okazał się bardziej ciężki niż był. I do tego jeszcze – ten wielki szum... I nie zastały już Sandry Trzmielan, oni nie doczekali się ich, poszli przed nimi do Michałowa. Bo przecież – jakże się spóźnić witać Chrystusa Zmartwychwstałego. Szły Sandry same, coraz krótszy krok po coraz krótszym kroku. Zdrowa, młodsza o trzynaście lat ciotka Sandra pomagała mnie, brata bodaj na czas mamy kosz, nasz kosz. Ale i tak zostawały coraz ciaśniejsze buty, no i – ten szum. I kiedy mama buty zdjęła i szła boso, został jeszcze – ten szum... Boże – myślę sobie dzisiaj – czemu byłem jeszcze tak mały, czemu miałem dopiero osiem miesięcy, czemu nie mogłem krzyżeć: Ty wielki-mały, chamski świecie – czemu tak męczysz moją Matkę, czemu zabrałeś, wydarłeś Jej – Jej ciepłą drewnianą cerkiew i gonisz Ją do odrapanej, zimnej kamiennej karczmy, gonisz po tej dalekiej, obcej, wstrętnej ziemi... Gdybym tak mógł, ty, wielki-mały, chamski świecie, gdyby moje rączki nie były takie niemocne, wydrapałbym ci oczy – żebyś słońca nie widział, wydarłbym ci język – żebyś nim nie kłamał. Uszy... Uszy bym ci zostawił, żebyś słyszał – co ci powiedzieć muszę, żebyś słyszał to ciężkie jak głaz westchnienie mojej Matki... [...]

Wiara – to wielki skarb. Wiara przenosi góry... Że naszych nie przeniosła, to tylko dlatego, że o to nikt nie prosił, niczyja myśl nawet nie dotknęła takiego czegoś, takiej prośby-grzechu. Wiadomo – że Góry mogą być Górami tylko wtedy, kiedy są w Górach. One muszą zostać na swoim miejscu. To do nich trzeba wrócić. I oto prosiła mama zajędnego Wielkiego, Dobrego Boga. Ale tej prośby Dobry Bóg nie wysłuchał, a nawet jeśli tak – to bardzo późno i na dodatek trochę się przestyszał. Ale o to mama właściwie nie miała pretensji. Bo przecież ile było takich, jak ona – co prosili? Całe morze! No, a ileż można słuchać tego samego: mnie wygnali, i mnie wygnali, i mnie wygnali. Ja bym, Boże, wrócił, gdybyś tylko tak zrzucił. I ja bym wrócił, i ja bym wrócił, i ja, i ja... Takich próśb było tysiące, a Bóg tylko jeden. A zresztą – mama powtarzała to nieraz – może za jakieś grzechy tak się stało? Chociaż nikogo nie biliśmy, nie to – że zabiliśmy, i nawet jeśli byśmy chcieli, to i tak nie moglibyśmy, pomijając już to – że nawet nie chcieliśmy. Zdawałoby się więc, że nie zgrzeszyliśmy ni uczynkiem, ni myślą. Za jakieś grzechy – nie zgrzeszyliśmy... [...]

Palidrab mieszkał za Morczaczką. Przedzielała ich Szprotawa. To była bodaj najładniejsza sadyba w Trzmielu. Nie ze względu na zabudowania, a na położenie. Tato by powiedział: co za różnica – tu równina i tu równina. Tak, ale sadyba Palidraza wraz z przynależną rolą była jak ranczo. Choć leżała wśród innych gospodarstw, w bliskim ich sąsiedztwie, nie potrzebowała żadnego płotu. Z jednej strony granicą dla niej była Szprotawa, z drugiej strony, łukowato, krańcami zbliżając się ku rzece, biegł rów melioracyjny, taki solidny, jak wszystkie niemieckie rowy. Mimo wszystko, nie stanowiłby wyraźnej granicy, gdyby nie rząd pięknych dębów rosnących na całej prawie długości. Całość przedstawiała się jak mocno spłaszczony owal o długości może pół kilometra, w najszerszym miejscu dobrze przekraczający sto metrów, przedzielony główną wiejską drogą na dwie nierówne części. Na mniejszej stały zabudowania Palidraza. Stary dom i, położona do winka, niewielka stodoła wraz ze stajnią.

Bardzo stary dom Palidraza był jedynym we wsi, niemal bliźniaczko podobnym do naszego. Może dlatego tak podobała mi się ta sadyba. A może dlatego, że Palidraza wszyscy lubili, szczególnie nasi. Palidrab ze swoją Palidrabką byli tacy pogodni, że nie można było ich nie lubić. Wprawdzie Jaśko Durban, sąsiad zza rzeki, wykrzykiwał nieraz na nich: „Niemce przekłete”, wprawdzie jeden czy drugi durbak, jak mówił tato, od czasu do czasu wyrażali lżej swoje przekonanie – że to Niemce, ale to prawdą nie było.

Palidrab z Palidrabką byli tubylcami, jedynymi, którzy pozostali w Trzmielu po baniowych bronowaniach i innych pogromach. Uważali się za Polaków, choć ich mowa różniła się od wszystkich innych mów Polaków z naszej wsi. Ich mowa była najbardziej podobna do tej, której używały młode panie nauczycielki. Palidrabowie nie mówili tak trzask-prask: „Nie pośrutuj ci Tyeodyor, bo mi si, franca, kamiń wytrasnoł”, ani jak Kaśka – sąsiadka od krowy: „Bodaj by cie była smoła wzięta”. Ich mowy słuchałem tak, jak gdybym czytał książkę. Może dlatego lubiłem Palidraza z Palidrabką. A może – któż to wie, czy człowiek po tylu latach siebie odgadnie? – może udzielił mi się szacunek rodziców dla pogodnych sąsiadów z sadyby nad Szprotawą?

Skąd się wziął ten szacunek? Wydaje mi się – choć sam siebie odgadnąć nie mogę – że dziś, po tych latach, znam odpowiedź na to pytanie.

Palidrab miał SWÓJ DOM. Nikt inny w całym Trzmielu nie mógł i nie umiał tak pięknie powiedzieć o swoim domu: to mój dom. Nawet wszyscy Polacy, także ci z Kielecczyny, z Lubelszczyzny, z Rzeszowszczyzny, z Centrali – choćby i podobnie powiedzieli, brzmiało to tylko podobnie, z podkreśleniem samego „mój”, jak dziecko pośród małej draki powie: to moja piłka. Wszyscy oni, może za wyjątkiem pochodzących zza Buga Jaśka Durba i Kaśki Bodaj By Cię Smoła Wzięta, przyszli tu nad Szprotawę po dobrej woli. Tak umownie – po dobrej woli. Jeden – bo z ojcowizny nie było już co dzielić, drugi – bo był nieudacznikiem, bradziagą, leworękim leniem, inny znów za nic miał ojcowiznę, kiej zwęszył szansę w świecie. (Tych drugich i innych poznać można było po sterczącej, nie wyczesanej sierści ich koni, po wystających żebrach szkap). Żadnego z nich nikt nigdy nie wyganiał z własnego domu. Jeśli już, to najwyżej pierwszego – bieda. Ale i tak nie pod lufą. Dlatego nie umieli tak pięknie powiedzieć – to mój dom.

Nasi znów... prawie nie używali tego krótkiego, pięknego zdania. Ich dom został TAM. Tu mieli tylko miejsce, które zamieszkiwali. To nie był dom. To było „tu”. Do dziś dźwięczą mi słowa ojca, matki, słyszę je, jak gdyby wypowiadali je przed chwilą: „doma było tak a tak”, „doma sme mołoty w młynicy”, „doma sme kysyły rydzyki”⁸. Nigdy, przenigdy nie słyszałem od nich by powiedzieli: „w tamtym domu”, albo „w tym domu”. Bo na całym świecie nie ma tamtego domu i tego domu. Dom jest tylko jeden.

Szanowali ojcowie moi, nonaszkwie, wujkowie, strykowie, susidowie⁹ Palidraza za JEGO DOM, może mu go nawet zazdrościli. A może...

Wydaje mi się, jestem prawie przekonany, że istniał jeszcze jeden powód owego stanu, który nazwę po imieniu za chwilę. Słyszałem kiedyś od ojca takie niedokończone zdanie: „A, tak sme sia dały wyhnaty...”¹⁰. Brzmiało to jak wyrzut w odniesieniu do samych siebie, do samego siebie. Tak się „to” jakoś zasiedziało we mnie, że – już trochę później, w czwartej, może piątej klasie, kiedy poznałem, co to jest geografia – zawzięcie, do późnych nocy malowałem akwarelami fizyczną mapę Łemkowniny, projektowałem układ ulic jej stolicy, centralne „międzynarodowe” lotnisko. Trudno mi określić, czy przypisać tę młodzieńczą pasję samorodności czy też pochodności owego: „A, tak sme sia dały wyhnaty...” A, tak... To znaczy – jak? Czemu nie dokończył? Może jak potulne owce, jak głupie barany? Bez oporu, bez wideł? Bez śmierci na własnym progu?

Może uporczywo w oporze zazdrościł ojciec Palidrabowi aż do szacunku? Ubeki nachodzili Palidraza dniem i nocą – żeby zjeżdżał za Nyse, za Odrę. Przecie jak miejscowy – to musi być Niemiec. Nawet nazwisko takie drabskie ma. Że co? Że to piękne słowiańskie, aż pachnące wiekami nazwisko? A skądże oni mogli o tym wiedzieć! Oni nie byli filologami, oni byli ubekami. Podobno nawet okładali Palidraza kolbami, ale się nie poddał. Został tu, na ojcowiznie! A i Ojczyzna przyszła po niego. Dzień i noc błogosławił głupotę Hitlera. To ona przecie sprawiła, że przyszła do niego Ojczyzna. Nie wyszło mu na zdrowie to błogosławieństwo. Wywęszyły go rude szczury:

- Obywatelu Palidrab, błogosławił ci Hitlera, tak jak papież Pius.
- Nie wiem, co błogosławił papież Pius, ja błogosławiłem mądrą głupotę Hitlera.
- Znów coś kręcicie, obywatelu Palidrab, jak głupota może być mądra? Ale niech tam, powtórzcie – czyją głupotę błogosławiłicie?

⁸ „w domu było tak i tak”, „w domu mieliśmy w młynku”, „w domu kisiliśmy rydze” [przyp. P.T.].

⁹ nonaszko (łem.) – chrzestny; stryk (łem.) – stryjek; susid (łem.) – sąsiad [przyp. P.T.].

¹⁰ „A, tak się daliśmy wygnać...” [przyp. P.T.].



- Głupotę Hitlera.
- Więc ona była jego własnością, tak czy nie!?
- Tak, głupota Hitlera była błogosławioną własnością Hitlera.
- A więc błogosławiliście Hitlera, obywatelu Palidrab. Jeśli tak, to czemu siedzicie tu w Polsce?

– Siedzę na swojej ojcowiznie, tu jest MÓJ DOM.

Nie miał Palidrab szczęścia w Polsce, która do niego przyszła, choć i ubeków zwyciężył. Chociaż ja nie wiem – czy zwyciężył? ...

Miał Palidrab pięknego bułanka, czarnego – nie czarnego, takiego jakiegoś w kolorze dojrzałej węgierki. Nie miał już dużo pola. Dzieci wygnał do prawdziwej Polski, żeby się gdzieś tam, w wielkim ludzkim kłębówisku zachowały, żeby ich ubeki nie nachodziły, a większą część swojego rancza, tę za drogą, wydzierżawił Jaškowi Durbanowi. Ale koń o tym nie wiedział, poszedł paść się po staremu, na swoje. Jaška bardzo znerwowało to, że Palidrab nie powiedział swojemu koniowi, gdzie się ma paść. Przez kuchenne okno wszystko widział. Wyskoczył z widłami i choć zastał już Palidraba prowadzącego konia ku obejściu, okładał go tak długo, aż ten upadł. Wprawdzie wstał jeszcze przy pomocy Palidrabki, doszkandybali razem do swojego domu, ale nie pożył. Już drugiego dnia, po głośnym płaczu Palidrabki wiadomym było, Palidrab umarł.

Poszedł chyr po wsi, chodzili ludzie oglądać Palidraba. Wzięta i mnie mama za rękę i poszliśmy do bliźniaczego domu Palidrabów. Palidrab leżał w wielkim pokoju, też takim samym jak nasz. Palidrabka pochlipując mówiła do mamy:

– Patrzcie, Aleksandro, jak go zbił, jak go skatował, jak go zniweczył.

I uniosła prześcieradło, i moim oczom ukazał się goły, biało-sinoczarny Palidrab. Nie wiem, którego koloru było najwięcej, najbardziej zapamiętały mi się czarne pręgi, kiedy Palidrabka obróciła go na brzuch i ukazała plecy:

– Patrzcie, Aleksandro, jak go zbił, jak go skatował, jak...

Milicja przyszła po Jaška jakoś wnet. Siedział dwa, może nawet trzy lata. Siedziałby chyba jeszcze dłużej, ale sądzono go przecie za pobicie. Faktycznie, Jaško tylko ciężko pobił Palidraba, a umarł to on już sam.

Za: **P. Murianka**, *Dom na wzniesieniu* (fragment), Krasnogruda 2000, nr 11, s. 203-212.



łemkowie

małopolska
wielu kultur

Petro Murianka (właśc. Piotr Trochanowski), poeta, prozaik, publicysta, tłumacz, redaktor. Urodził się w 1947 roku w miejscowości Parchów na Dolnym Śląsku i jest, jak sam podkreśla, równolatkiem Akcji „Wisła”. Jego rodzice pochodzili z miejscowości Binczarowa na Łemkowszczyźnie. Obecnie mieszka w Krynicy. Jest jedną z najważniejszych postaci łemkowskiego ruchu kulturalnego. Jest autorem kilku tomików poezji, antologii poezji (w tym dla dzieci) i pieśni łemkowskich. Redaguje pisma „Besida” i „Lemkivskij ricznyk”, prowadzi działalność pedagogiczną i artystyczną. Przez lata był członkiem zespołu „Łemkowyna”, zasiadał w zarządzie Stowarzyszenia Łemków z Legnicy, był współorganizatorem pierwszych łemkowskich wiatr (w Czarnej, Hańczowej i Bartnem), a obecnie współorganizuje „Watry na Obczyźnie” w Michałowie. Jest laureatem wielu nagród i wyróżnień.

Petro Murianka, *Dom na wzniesieniu* (fragmenty)

Rapsodia dla Łemków

Jarosław Zwoliński

WYSIEDLENIE (CZERWIEC 1947)

[...] Otaczająca nas przyroda jest najpiękniejsza w czerwcu. W górach maj i czerwiec – to miesiące nasilonej wegetacji zbóż i innych roślin, którym sprzyja ciepła ziemia. Oglądali gospodarze, jak rosną zboża. Z dumą spoglądali na starannie obsiane pola. Ze środka wsi widać było jak na dłoni wschodnie pagórki, tam, „za Białą”, jak i dalej na „stupach”, pola pod „kiczyrką” czy „diłom”, a najwyraźniej tu przy samej drodze, od granic wsi Kąclowa aż po dom starego nauczyciela Jancura. Spokojną wieś jednak coś gnębiło. [...] Po 15 czerwca we wsi ponownie pojawiło się wojsko. I znowu zakwaterowali na grekokatolickiej plebanii. Kilka razy przejeżdżali przez wieś ciężarowym samochodem i rozrzucali lub rozdawali ulotki. Wynikało z nich, że ludność całego Podkarpacia będzie przymusowo wysiedlona na Ziemię Zachodnie za to, że na tych terenach grasują oddziały UPA i zastrzelony został generał Świerczewski. Ta wersja o „grasowaniu band UPA” była nam wmawiana jeszcze przez wiele lat. [...]

We wsi zapanowała atmosfera strachu i wyczekiwania. Na kilka dni przed mającym nastąpić „sądem ostatecznym” w samo południe pojawił się w naszym domu oficer z trzema żołnierzami. Zapytał mojego ojca, jak się nazywa oraz czy jest Polakiem, czy Łemkiem. Ojciec – niczego nie podejrzewając – odpowiedział, że jest Łemkiem. W tym momencie został mocno uderzony w twarz. Nie zachwiał się, bo był to chłop o wzroście 184 centymetrów, dobrze zbudowany, a za sobą miał służbę wojskową w pułku podhalańskim. Tu w domu ojca spotkali się: przedwojenny podoficer-podhalańczyk i nowy oficer, niby tego samego polskiego wojska. W jakże dziwnych i odmiennych okolicznościach. Nie wiem, jak dalej zachowałby się pan oficer, gdyby nie to, że na podwórku przed domem pojawiła się druga grupa, taka sama czwórka ze starszym stopniem oficerem. Ten, który był w naszym domu, szybko wyszedł i zameldował: „Obywatelu kapitanie, oficer Zderkowski kontynuuje akcję”. Nie wiem, czy to było prawdziwe nazwisko tego oficera, czy tylko pseudonim. Wiem natomiast i doskonale pamiętam, że tak samo zachowywali się żandarmi z policji hitlerowskiej, kiedy szukali w naszym domu ukrytego kawałka słoniny albo schowanego ziarna. Oficer polski nosił na szyi czerwona apaszkę. Jego zachowanie w naszym domu zrobiło na mnie straszne wrażenie. Kiedy w przyszłości usilnie namawiano mnie do szkoły oficerskiej, nigdy tam nie wstąpiłem. Cały czas miałem wówczas przed oczami tę scenę z udziałem oficera w czerwonej apaszcze, rozegraną w moim rodzinnym domu. Pozostał bardzo głęboki uraz. [...]

29 czerwca 1947 roku z krzykiem i hałasem wygoniono gospodarzy z ich własnych domów z tym, co zdążyli umieścić na wozach. Pod konwojem wojska ustawiono wszystkich w dużą kolumnę na głównej drodze wiodącej z Krynicy do Grybowa.

Jak ogromne wrażenie robi na człowieku głośny płacz dzieci, kobiet, pokrzykiwanie konwojujących, ryk bydła – jaki to straszny widok. O godzinie 10.00 rano tego dnia ruszyła kolumna wozów i przywiązanego do nich bydła, idących obok ludzi, a bokami drogi uzbrojonych żołnierzy. To widok, którego zapomnieć nie można. [...]

A ludzie w kolumnie zamyśleni, zapłakani, mało ze sobą rozmawiali. Szli jak na skazanie. A może to jeszcze nie koniec świata, może to tylko rok, dwa i znow wrócą na swoje. Gnani jednak falą akcji „W” („Wisła”), zbliżali się powoli do granic Grybowa. [...]

Powoli ruszył w nieznaną kolejną transport z Łemkami. Następnie ładowano po nas. Na samą wieś Florynkę trzeba było trzech transportów. Na stacji w Grybowie ładowano ludzi z okolic nawet Krynicy. Być może dlatego, ażeby takiego „exodusu” nie pokazywać wczasowiczom. Bądź co bądź był to widok szokujący. Całe wsie wypędzane pod konwojem wojska. W tym transporcie wieźli 48 godzin, a nawet całe rody: Haburów, Koziarów, Worhaczów, Majczaków, Dubców, Merenów.

Nikt nie wiedział, dokąd jedzie, ani jak długa będzie podróż. Transport, składający się z około trzydziestu wagonów, ciągnięty przez jedną, a popychany przez drugą lokomotywę, powoli oddala się od łemkowskiej ojcowizny.

Zaczęło świtać, gdy transport powoli przesunął się przez stację kolejową w Nowym Sączu. Za Nowym Sączem sapiące lokomotywy z wielkim trudem pokonywały każde

Jarosław Zwoliński, *Rapsodia dla Łemków* (fragmenty)



łemkowie

małopolska
wielu kultur

wzniesienie. Podczas tej powolnej jazdy jakiś mundurowy (konwojent), który miał chyba tutaj rodzinę albo znajomych, zaczął zrzucać z wagonów na pola obok torów, koła od wozów, sprzęt rolniczy, a nawet całe półwozia. Ta przedziwna „zabawa” była prowadzona na dość długim odcinku trasy kolejowej. Wreszcie po którymś, siódmym czy ósmym dniu podróży, transport dotarł do stacji kolejowej w Sulęcinie. Był to pierwszy etap tej morderczej drogi od własnego, pradziadowego domu, z własnej ziemi – do ziemi obcej, chociaż obie należały do jednego państwa polskiego.

Do końca czerwca 1947 roku opustoszały łemkowskie wsie, odjechały ostatnie transporty. Wraz z ostatnim transportem zamknięto okres dziejów, wyrwano kartkę – czas pokaże czy ostatnią – z historii narodu i jego kultury. Z historii ludu, który mieszkał tu przez setki lat. Czy na zawsze? Nie da się zniszczyć, zmasać wszystkiego, co tworzone było przez wieki. Można zniszczyć człowieka, ale nie można zniszczyć ogromnego dorobku materialnego. Pozostało przecież po Łemkach tyle cerkwi, cmentarzy z kamiennymi krzyżami, przydrożnych kapliczek i krzyży, śladów odrębności kulturowej w budownictwie, tyle milczących świadków kultury Łemków. Trzeba wielu lat, by to zniszczyć, spopielić, ale i trzeba mieć rozum bardzo mały, intelekt bardzo płytki, żeby to niszczyć. [...]

NOWA ZIEMIA

Po siedmiu dniach podróży w wagonach towarowych, razem z bydłem, często z trzodą chlewną i domowym ptactwem, dowieziono nas do stacji końcowej. Nasze spotkanie z nową ziemią nastąpiło na stacji kolejowej w niewielkim miasteczku – Sulęcinie. [...]

Zasiedlono nami różne folwarki, gdzie nie było ani Boga, ani ludzi. Mówiono na stacji w Sulęcinie: PNZ – taki i taki, – folwark: taki i taki. I tak jedziemy powoli na wyznaczony nam folwark. [...]

Jechaliśmy przez jakąś nie zaludnioną wieś o nazwie Wiśniów czy Treśniów. Wieś była zupełnie pusta, jakieś baraki, kilka domów bez ludzi. Ostrzeżono nas, że tu nie wolno się zatrzymywać, bo wszystko jest zaminowane. Mocno grzało lipcowe słońce, zmęczone były i zwierzęta, i ludzie. Zatrzymaliśmy się w zupełnie pustej, dużej wsi o niemieckiej nazwie Malkendorf (została potem Malutkowem). Dziwna była to wieś. Tyle murowanych zabudowań, a wszystko puste. Dowiedzieliśmy się, że wieś jest także zaminowana, a naokoło jest wojskowy poligon. Jakże to wszystko było dla nas niezrozumiałe. Starsi bardzo uważnie obserwowali to, co napotykalismy po drodze. Zresztą wszystko było tu inne, inny świat. Duże wsie i same murowane domy, obszerne obejścia gospodarcze, inne drogi, inna zieleń, dużo nie zaoranego i nie obsianego pola, a w niektórych miejscach ogromne łany zbóż, żyta i pszenicy.

Ludzie urodzeni i wychowani na wsi, rolnicy z dziada pradziada lubią i szanują ziemię, żywią dla niej kult. Na wiosnę łemkowski rolnik pod pierwszą skibę przyorywał jajko i bochen chleba. [...] Czy tutaj też zapanują takie zwyczaje? Spoglądali gospodarze łemkowscy na tę nie zaoraną ziemię i obliczali, ile z tego może być chleba. Jeszcze nie bardzo zdawali sobie sprawę z tego, że tę ziemię trzeba inaczej uprawiać, inaczej orać, inaczej siać ziarno, inaczej zbierać plony. Z tak dużą ilością ziemi nie można rozmawiać i pielęgnować jej tak, jak tamte małe zagony w rodzinnej łemkowskiej wsi.

Dojechaliśmy wreszcie do małego miasteczka o nazwie Łagów. Tu pozostawiono kilka rodzin, kilka następnych skierowano do folwarku Teresin. Naszym przeznaczeniem był majątek Państwowych Nieruchomości Ziemijskich w Żelechowie, wsi oddalonej od Łagowa o kilka kilometrów. Dotarliśmy tam wieczorem w składzie ośmiu rodzin. Ulokowano nas w dwóch domach. Przy domach były jakieś komórki na bydło. Wszystkie pomieszczenia mocno zdewastowane. Trzeba było powstawić drzwi, okna, naprawić piece, żeby coś można było ugotować. Najważniejsze, że po tej długiej podróży odpocznie bydło. Każda rodzina miała po kilka sztuk krów, koni, wołów. Przez dwa dni doprowadzono mieszkanie do porządku, poutykano sprzęt rolniczy i wozy. Po zabudowaniach wiejskich było widać, że jest to wieś duża i bogata. Ogromne budynki gospodarcze, duże domy, stodoły, nie widać pustych domów poza tymi majątkowymi, gdzie nas ulokowano. Wiemy już, gdzie możemy paść bydło, gdzie kosić trawę. Wszystko to szło naszym ludziom, jakby działali po omacku. Byli jak oszołomieni.

Na trzeci czy czwarty dzień musieli się wszyscy stawić o szóstej rano na podwórku majątku. Tu spisano jeszcze raz osoby z każdej rodziny, wszystkich zdolnych do pracy i stan posiadania (sprzęt rolniczy, konie, krowy, woły).

Miejszowi osadnicy bardzo dokładnie obserwowali tych „nowych”, próbowali nawiązać rozmowy, podpytywali. Dowiedzieliśmy się, że ich też uprzedzono, że przywozi się tu Ukraińców z akcji „W”. My już też wiedzieliśmy, że są to repatrianci zza Buga, gdzieś z Łucka na Wołyniu, chociaż o tym Wołyniu nikt z Łemków nie słyszał. Po takich zdawkowych rozmowach i tak już wiedzieliśmy, że my wszyscy – łącznie z małymi dziećmi – lepiej od nich mówimy po polsku. Oni używali jakiegoś „chachłackiego”, trudno dla nas zrozumiałego języka w miękkim „ł”. Polacy to są, czy nie? Nie wiedzieliśmy.

Jak było przykazane, następnego dnia (bo pierwszego kazano nam obejrzeć całe gospodarstwo), punktualnie o szóstej jakiś dyżurny podzwonił dzwonkiem zawieszonym na gałęzi drzewa i zebrał się wszyscy robotnicy majątkowi i wszyscy zdolni do pracy Łemkowie. Następował rozdział pracy. Gruby, czerwony na twarzy dyrektor majątku porozdzielał ludzi: ten do stajni do koni, ten do stolarni, do warsztatu, kuźni, obory i tak aż do ostatniego robotnika. Grupa Łemków liczyła 19 osób, a ludzi majątkowych było nieco mniej. Dalsze dyspozycje dyrektora dla Łemków brzmiały: „Przyjechaliście tutaj do pracy w majątku. Na roli się znacie. Zbliżają się żniwa, będziemy kosić zboże. Mamy mało sprzętu i ludzi do pracy”. Mówił jeszcze coś więcej. Takie to było pierwsze spotkanie rolników, ludzi wolnych z dyrektorem wielkiego majątku ziemskiego, również rolnikiem, gospodarzem wielkiej posiadłości państwowej. Była to pierwsza od wielu dni rozmowa o gospodarstwie i o roli, o potrzebie koszenia żyta. Dyrektor wygłosił inne pouczenia; jakie prawa obowiązują w majątku, zwyczaj, dyscyplina i jak płaci się za pracę. Była też taka zapowiedź, że w majątku musimy zostać przez rok. Nigdzie nam stąd nie wolno wyjechać bez zgody czy to dyrektora, czy innych władz. Przyjęli Łemkowie tę mowę z nisko opuszczonymi głowami. Teraz potwierdziło się to, czego do tej pory nikt nam oficjalnie nie powiedział: wysiedlenie przymusowe, karne. Ludzi zapędzono do majątku jak do obozu, oddano pod milicyjny nadzór. Rozeszli się wszyscy w zamyśleniu do przydzielonej pracy, lecz jak było widać, nie przejęli się aż tak bardzo gadaniem dyrektora. Tymczasem żniwa zbliżały się w bardzo szybkim tempie. Dyrektor zarządził wydanie dla każdej rodziny po kilka kilogramów mąki i kaszy. W rodzinnych stronach ten okres – to najtrudniejszy przednówek, może tu będzie łżej.

Następnego dnia dzwonek zadzwonił znów o szóstej rano. Wszyscy stawili się punktualnie. Ten dzwonek o szóstej rano stał się z czasem głównym powodem do uciezki na swoje łemkowskie rolników, obecnie robotników na majątku. Chociaż Łemkowie są bardzo pracowici i wytrwali i nieobca jest im ciężka praca, to jednak stawianie się na podwórku majątku o szóstej rano pod dzwonkiem zawieszonym na gałęzi drzewa było ogromnym poniżeniem. Na swoich wstawali o czwartej rano, kładli się spać o dwudziestej trzeciej, ale tam nie było dzwonka. Taka jest mentalność chyba wszystkich ludzi wolnych, nie akceptujących przymusu, taka jest mentalność rolnika, pana na swoim.

Zaraz za Żelechovem rozciągały się ogromne połacie pól, ogromne łany żyta. Myśleli Łemkowie, jak to wszystko zebrać, skosić, wymłócić, pozbierać ze ścierniska kłoski. Dość trudno było to zrozumieć ludziom, którzy nigdy nie widzieli tak ogromnych pól obsianych żytem.

W majątku było kilka par koni, jakiejś dziwnej rasy, ogromnych, ciężkich, z dużymi kopytami. Taki koń u nas, w górach, nie wytrzymałby nawet tygodnia i zjadłby całe gospodarstwo razem ze ścianami. Były też trzy traktory na żelaznych, kolczastych kołach z napisem z przodu „Lanz-Bulldog”. Majątek liczył około dwóch tysięcy hektarów pola, ludzi niewiele. Były te – Łemków gospodarzy – ręce bardzo potrzebne. Tylko czy władza nie mogła skrzyknąć młodych ludzi na roboty i zapłacić? Czy trzeba było rozwalać całą Łemkowszczyznę, żeby zasilic państwowe majątki?

Któregoś dnia dyrektor zapowiedział, że po niedzieli zaczynamy koszenie żyta. Praca na roli to przecież specjalność ludzi gór. Przygotowali swoje kosy, sierpy i czekali, aż rozpocznie się koszenie i aż dyrektor wskaże im, gdzie mają kosić. I zaczęło się. Wczesnym rankiem wyszli na wskazane pole. Ogromny obszar dorodnego żyta. Zabrali ze sobą jedzenie, dzieci, jakby na jakąś wyprawę. Nareszcie będą robić przy zbożu, pracować przy „chlebie”. Zaczynają. Do pokosu staje pierwszy mężczyzna, a był to młody, dobrze zbudowany chłopak, chyba Jarek Kapuściński, a za nim kobieta do podbierania. Potem następny i następna kobieta i tak aż do ostatniej pary. Tak koszone zboże na Łemkowszczyźnie, ale tam każda rodzina pracowała w mniejszym składzie na swoim, na małych zagonach. Tu wszyscy naraz dla jednego gospodarza.

Jakiż precudny to widok, kiedy kilkunastu mężczyzn tnie kosami żdźbła żyta, a za nimi odbieraczki zbierają pokos i układają w snopy. Za nimi następna grupa wiąże te snopki powrótami robionymi na poczekaniu z tego samego snopka. Przed południem przyjechał na pole swoją dwukołową bryczką dyrektor majątku. Długo nie schodził z bryczki i patrzył, patrzył. Nie mógł się napatrzeć na dziwnych żniwiarzy. Nie pamiętam jego nazwiska, lecz był to na pewno człowiek wykształcony, o czym świadczyło jego zachowanie i mowa. Może pamiętał takie obrazy z opisów w literaturze. Po dłuższej obserwacji wysiadł z bryczki, porozmawiał z ludźmi, pochwalił i obiecał dostarczyć czarną, zbożową kawę. Podchodzili też gospodarze ze wsi popatrzeć na majątkowe pole, na którym Łemkowie koszą zboże. Może ten widok przypominał im rodzinne strony, gdzieś na Wołyniu, a może tęsknili za swoim tak, jak my. Jakiś lepszy nastrój zapanował podczas śniadania, nawet jakąś piosenkę zanucili i zaśpiewali pięknie. Dziwni to ludzie, ci Łemkowie, są szczęśliwi, kiedy pracują po swojemu.

Po pierwszym dniu koszenia wszyscy czuli zmęczenie. Drugi dzień był trudniejszy. Bolały ręce, plecy. Pokos był już nie tak szeroki, a tu jeszcze tyle do koszenia. Widział dyrektora i powiedział: „Trzeba naprawić stare kosiarki, zaprzęgnąć po cztery konie, również wasze konie i kosić kosiarkami”. Tak też się stało. Rozpoczęło się koszenie maszynami. Zgrzytało, skrzypiało, hałasowało, ale jakoś kościło i to szybciej niż kosami. Teraz wszyscy wiązali snopy i od razu stawiali małe kopki. Było to pierwsze spotkanie ludzi, gospodarzy z gór, z taką techniką koszenia zboża. Jedno, co im się nie podobało, to zmarnowane kłosa.

Po kilku dniach pracy zarówno mieszkańcy wsi – gospodarze, jak i dyrektor majątku i jego pracownicy, nabrali ogromnego szacunku dla Łemków za ich pracowitość i zaradność.

Na tych ziemiach wszyscy wszystkiego się uczyli. Uczyli się szczególnie repatrianci z Buga, ale uczyli się też Łemkowie, bo nie byli przyzwyczajeni do takich przestrzeni. Tu nie pasował górski, drewniany wóz łemkowskiego gospodarza, jak też jeszcze bardziej nie pasował drewniany, zabugowski wóz z „dugą”. Musieli się uczyć wszyscy od wszystkich. Najłatwiej radzili sobie poznaniacy. Ich równiny są podobne do wielkich obszarów pól, jakie są tutaj.

Dzwonek w majątku dzwonił każdego ranka. Widziałem, jak zawsze denerwował Kapuściańskiego, mojego ojca i innych.

Po całodziennym, ciężkiej robocie w żniwa każda rodzina żyła swoim życiem, bo trzeba było jeszcze zadbać o swoją chudobę, przypilnować, czy konie nakarmione, pomyśleć o paszy dla bydła na zimę. Było tyle roboty, że niewiele czasu zostawało dorosłym na wspólne biesiady. Tylko dzieci przynosiły z podwórek coraz to ciekawsze wieści. Tu ich nazywano banderowcami, tam znów inne dzieci bały się naszych, a z innymi nie mogły się dogadać. My też odczuwaliśmy ogromny dystans mieszkańców wsi wobec naszej społeczności. Wieczorem zamykali bramy, nie wdawali się w żadne rozmowy, jakbyśmy byli zarażeni tyfusem. To był tyfus wszczepiony nam przez władzę – „Ukraińcy z akcji »W«”. Robotnicy majątkowi byli mało rozmowni. Byli to przeważnie poznaniacy, a jakaś akcja „W” była dla nich czarną magią. Dyrektor majątku rzadko rozmawiał z naszymi ludźmi, bo robotę każdego dnia rozdzieliał brygadzysta. Ustalono, że bydło naszych gospodarzy będzie pasł jeden człowiek wyznaczony przez naszych, ale będzie to ten, który nie może ciężko pracować. Wyznaczyli więc Łemkowie Fecia Maksymczaka z uwagi na jego wątłe zdrowie i podeszły wiek. W tym czasie przydawały się każde ręce. Poszukiwani i bardzo potrzebni byli każdy fach, czy to stolarz, kowal, czy ślusarz. Inaczej, to zasiane na wiosnę 1947 roku zboże (może przez wojsko) nie byłoby zebrane. Kto zbiera zboże z naszych łemkowskich pól? Często zastanawiał się nad tym mój ojciec.

Wiedzieliśmy już, gdzie nas przywieziono i co nas czeka w najbliższym czasie. Zaczęliśmy tęsknić za swoimi. Na razie, po tych kilkunastu dniach, nic nie wiedzieliśmy o naszych florynczanach, których skierowano do innych miejscowości, a już zupełnie nic nie wiedzieliśmy o florynczanach z pozostałych transportów, którzy pozostali na stacji w Grybowie. Wydawało się, że stąd jest wszędzie strasznie daleko, że chyba się stąd nigdy nie wydostaniemy.

ODNAJDYWANIE WŁASNEJ TOŻSAMOŚCI

W majątku widzieliśmy, jak dość dokładnie nas obserwują. Nie wiedzieliśmy, kto jest pracownikiem biura, a kto urzędnikiem z UB. W naszej grupie, w Żelechowie, było trochę młodzieży. Młodzi zaczęli się kręcić, jakby odwiedzić tych w Łagowie i w najbliższych

folwarkach. Była niedziela. Kilku ruszyło pieszo do Łagowa. Wrócili wieczorem, uradowani choć zmęczeni. W następną niedzielę – do innego majątku. Po jakimś czasie odwiedzają nas w Żelichowie. Teraz już wiemy o prawie całym naszym transporcie. Ileż to radości, uciechy. Są. Żyją. Po tych kilku spotkaniach młodzież nabrała śmiałości. Nikt nas po drodze nie legitymował i nie zatrzymywał. Uzgadniamy, że w następną niedzielę pójdziemy do Jarnatowa, a w następną – do Wielowsi. Młodzież zaczyna medytować, czym jechać. Końmi za daleko. Bardzo pilnie potrzebne są rowery. W niedługim czasie młodzież łemkowska w sobie znany sposób zorganizowała rowery i teraz w każdą niedzielę ruszono na odnajdywanie Łemków. Po drodze, w różnych wsiach dowiadywano się, że w tej czy tamtej wsi również mieszkają ludzie z akcji „W”, chociaż mówiono również: banderowcy z akcji „W”. W taki sposób w ciągu żniw odnaleźliśmy cały transport wyładowany w Sulęcinie, a przy okazji odkryliśmy, że w Buczu są hanczowanie, w Lubrzy – kliniwczanie.

Łemkowska młodzież bardzo chciała być ze sobą, a tak niewiele czasu miała dla siebie. Przejazd dwudziestu czy trzydziestu kilometrów starym rowerem, który często trzeba było pchać, a potem powrót tyleż kilometrów, nie pozostawiał zbyt wiele czasu na cieszenie się sobą. Zbierali się w czymś domu, gospodarz częstował, czym mógł, a nieraz trzeba było obczęstować i kilkanaście osób. W taki oto sposób młodzież odnajdywała swoje więzi z wspólnotą łemkowską, rozproszoną po folwarkach, majątkach, skazaną na wymarcie. Nie jest przesadą powiedzenie „na wymarcie”. Kiedy przyjeżdżaliśmy rowerami nieraz do najbardziej odludnych miejsc, gdzie w dużym zdewastowanym budynku mieszkały po dwie rodziny łemkowskie, i kiedy nieraz widziałem, jak na nasz widok nawet kilkunastu młodych ludzi reagowało głośnym płaczem, myślałem, jak barbarzyński to pomysł, aby nas wysiedlić i skazać na takie warunki. Nie daliśmy za wygraną. Odszukanie się i wzajemne odwiedziny Łemków podtrzymywały nas mocno na duchu.

Gdzie tylko byliśmy, wszyscy pytali, czy u was nie ma miejsca, żeby nas było więcej. Takie same pytania padały z naszej strony. Ilu was jest? Gdzie jeszcze są nasi ludzie? Skąd pochodzą? Przejęliśmy przez wieś i miasteczka i obserwowaliśmy, gdzie są wolne domy, czy tu nie ma już naszych, czy nie można by tu się osiedlić.

Bardzo szybko minęło lato i jesień 1947 roku. Po żniwach zaczęli Łemkowie myśleć, jak tu przez zimę utrzymać swoje bydło, jak je wykarmić. Poproszono dyrektora majątku o pozwolenie na koszenie rozmaitych nieużytków. W taki sposób zabezpieczono paszę dla własnego bydła. Rozpoczął się rok szkolny. Do szkoły poszły wszystkie łemkowskie dzieci. Minął już pierwszy szok, powoli zaczęliśmy się przyzwyczajać do tutejszego klimatu, który Łemkom absolutnie nie sprzyjał. Ojciec ciągle mawiał: „Co za zgniłe powietrze”. Ojcowie nasi coraz częściej myśleli o pójściu na jakieś gospodarstwo, o pójściu „na swoje”. Jesienią 1947 roku mieliśmy już pierwsze wiadomości, że dwie lub trzy rodziny osiedliły się w małym miasteczku o nazwie Toruń Lubuski. Nikogo nie trzeba było namawiać, żeby czym prędzej tam pojechać i zobaczyć, czy można coś znaleźć, co nadawałoby się do zamieszkania i kawałek jakiejś stajni dla chudoby.

Dość mocną stroną łemkowskich gospodarzy było to, że mieli własne bydło i konie, a więc czuli się gospodarzami. Łemko, odwieczny rolnik, nie wytrzyma bez własnego gospodarstwa. Prawie wszyscy florynczanie, którzy byli w państwowych majątkach i na folwarkach, myśleli, jak się stąd wyrwać, ażeby na wiosnę być już na swoim.

W Toruniu Lubuskim (obecnie Torzym) było dużo wolnych domów, gdzie mogły się pomieścić nasze rodziny. Na wiosnę 1948 roku, za zgodą dyrektorów PNZ (a czasem i bez ich zgody czy czyjegokolwiek zezwolenia) osiedliło się w Torzymiu, nawet w bardzo zdewastowanych budynkach, kilka rodzin. Byli tam: Antoni Habura, Michał Dubec, Aleksander Junak, Seman Merena i Petro Dubec. Wieść poszła po całym powiecie sulęcińskim, że są tam jeszcze jakieś rudery do remontu. Do końca 1948 roku było w Torzymiu 15 rodzin łemkowskich. Natomiast na wiosnę 1949 roku było nas już 21 rodzin i nie tylko samych florynczan, bo była i rodzina Tyliszczaków ze Złockiego i rodzina Ropickich z Astrabika.

Łemkowie zagospodarowali wszystkie rudery. Bywało i tak, że stajnia była przy innej ulicy niż mieszkanie, a stodoła przy jeszcze innej. Aleksander Junak mieszkał przy ul. Krośnieńskiej na drugim piętrze, tam przygotowywał jedzenie dla kilku świniaczek i nosił je do chlewików daleko, na podwórku. Władek Zwoliński swoje bydło trzymał na innej ulicy, a z jeszcze innej nosił paszę.

Wiedzieliśmy, że drugi transport mieszkańców Florynki odjechał z Grybowa w dwa dni po nas, również w wagonach towarowych, ale także w kilku odkrytych węglarkach. Nawet w takich



wagonach znajdowali się ludzie i dorobek ich życia. Drugi transport zatrzymał się na stacji w Nowej Soli. Stąd również popędzono ludzi ze swoim dobytkiem do wsi Stany i Lipiny, gdzie były jeszcze wolne gospodarstwa, lecz strasznie zdewastowane. Wolne pozostały dlatego, że w tych wsiach 70 procent areалу uprawnego – to ziemia szóstej klasy, nieurodzajne piaski. Oprócz Stanów i Lipin, pojedyncze rodziny pozostawiono również w innych wsiach: w Jeziornej (Seman Koziań), w Jodłowie (Jan Majczak).

Trzeci transport florynczan wyładowano na stacji kolejowej w Rokitykach. Tym rodzinom wskazano wieś Michałów. Właściwie trudno to nazwać wsią i trudno to opisać. Jest to obszar o powierzchni gminy, zalesiony, podmokły, bagnisty, trudno dostępny, o bardzo rozrzuconych i oddalonych od siebie, pojedynczych zabudowaniach gospodarczych. Z przybywających na te tereny wcześniej osadników zza Buga nikt w te pustkowia się nie zapuścił. Teren był pusty i odstraszał. Łemkowie jednak nie mieli wyboru. Musieli tu zostać.

Dla ówczesnej władzy było to zbawienie, bo za jednym pociągnięciem rozwiązano dwie kwestie. Pierwsza, to zasiedlenie pustych terenów, a druga – to zapakowanie Łemków w niedostępne obszary i ich ogromne rozproszenie. W powiatach: legnickim, szprotawskim, głogowskim, kożuchowskim, osiedlono już wcześniej Łemków z innych wsi (Muszynka, Słotwiny, Binczarowa, Brunary, Śnietnica, Stawisza). Dezintegracja tej społeczności miała nastąpić poprzez uniemożliwienie spotykania się, mówienia własnym językiem, kultywowania obyczajów, odprawiania nabożeństw w swoich cerkwiach. Jednym słowem: dezintegracja poprzez całkowitą asymilację. Wszystkich osiedlano na takich samych zasadach: po kilka rodzin w jednej miejscowości. Wiele, wiele lat później również się okazało, że te odległości dla Łemków nie są aż takie straszne i nie do pokonania. Utworzyły się trzy ośrodki – skupiska florynczan, do których dołączyły i inne wsie, również rozproszone w woj. wrocławskim i poznańskim. [...]

Pozbawienie ludności łemkowskiej wszelkich praw w pierwszych latach ich osiedlenia na Ziemiach Zachodnich było nakazem partyjnym, realizowanym przez UB i milicję. Ażeby naród ten pognać do końca, wyjaśniano sąsiadom, że: „Ci przybysze to bandyci Ukraińcy i należy na nich bardzo uważać, bo są niebezpiecznymi przestępcami”. Dzisiaj wiadomo, że każda łemkowska wieś miała swego „opiekuna” z UB. A ileż to razy sąsiedzi opowiadali, jak byli nastawiani przeciwko nam.

W Torzymiu, po osiedleniu się kilkunastu rodzin w 1948 roku, wzmocniono posterunek milicji. Dotychczas było dwóch milicjantów, teraz było już czterech.

Osiedlenie się Łemków w Torzymiu miało duży wpływ na ożywienie tego miasteczka. Zorganizowano Gminną Spółdzielnię, sklepy, magazyny zbożowe, uruchomiono tartak, rozpoczęto odgruzowywanie miasta. Ugory były orane już nie na pól drewnianymi pługami, które Łemkowie przywieźli ze sobą, lecz pługami żelaznymi.

Rodziny łemkowskie, osiedlone w Torzymiu, stanowiły już jakąś zbiorowość. Było nas około 85 osób. Łemkowie są z natury religijni. Tutaj nie mogli żyć bez swojej cerkwi bez względu na to, czy byli prawosławni, czy grekokatolicy. W górach mieli nawet po dwie cerkwie: prawosławną i grekokatolicką. Tu nie mieli nic. Grekokatolicy jakoś pojedynczo, później coraz śmielej, szli do kościoła rzymskokatolickiego. Prawosławni mieli większe opory wewnętrzne. Skrzyknęli się, uradzili, że w Torzymiu na poniemieckim cmentarzu jest mała kapliczka, z której można zrobić kapliczkę na wzór cerkiewny. Powiedzieli wójtowi, że będą się tam modlić. Wójtem był starszy pan zza Buga. Nazywał się Woliński, przedwojenny urzędnik, dość przychylnie do nas nastawiony.

Kapliczkę szybko wyremontowano. Z domów przyniesiono obrazy przywiezione z Florynki. Tak powstała mała świątynia na podobieństwo małej cerkiewki. Wszystko byłoby dobrze, tylko skąd wziąć księdza. Łemkowie śpiewać potrafią, tylko trzeba prawosławnego księdza. Napisałiśmy do Warszawy. I oto pewnej niedzieli przyjechał jakiś urzędnik, który przedstawił się, że jest księdzem prawosławnym, a przysłał go Metropolita. Chciałby zobaczyć cerkiew, bo nie wierzy, że jest. Pokazaliśmy kapliczkę. Wszedł, zbladł, zaniemówił, chyba zapomniał, jak należy się przeżegnać – jakby przeżył jakiś szok. Nareszcie uklękł przed obrazami, zapalił kilka świeczek. Uklękli wszyscy i zapanowała cisza. Po milczącej ceremonii wszyscy wstali i dopiero zaczęła się rozmowa. Ustalono, że ksiądz przyjedzie za dwa tygodnie, bo dzisiaj nie ma niczego do odprawienia nabożeństwa. Nie pamiętam nazwiska tego pierwszego księdza i do tej sprawy wkrótce powrócę. Tym bardziej, że człowiek ten, osoba duchowna, uciekł gdzieś z łagrów syberyjskich i zatrzymał się w Słubicach, gdzie pracował jako robotnik leśny – nie wytrzymał napięcia i życia bez cerkwi. Coś jednak w tej wierze jest?

Przyjechał nasz ksiądz za dwa tygodnie. Przywiózł, co mógł, szaty, kielich i krzyżyk trzyramienny, prawosławny. Zebrało się dużo ludzi, bo wieść poszła na okolicę, że w Torzymiu będzie Prawosławna Służba Boża. Na długo przed rozpoczęciem nabożeństwa oczekiwali już ludzie. Przyjechali, czym kto mógł, nawet z odległości czterdziestu kilometrów (z Glisna, Wielousi, z Łagowa i wielu innych). Rozpoczęła się Służba Boża, a wraz z nią szloch i płacz. Było dwóch żaków z dawnej Florynki – tęgie głosy – Andrzeja Zwolińskiego i Stefana Mereny oraz piękne głosy żeńskie dawnych florynczkich chórzystek – Marii Zwolińskiej, Warwarki, Tacy Dubec, Juhaski Habury. Wstrząsnęły one każdym człowiekiem, każdą łemkowską duszą, choćby była nie wiem jak twarda. Żyjemy, śpiewamy po swojemu „Hospody pomyluj”, a na koniec Służby Bożej piękne „Mnohaja lita”.

Na poniemieckim cmentarzu w małej kapliczce odbyło się pierwsze wielkie zgromadzenie Łemków – florynczan. Modlono się i śpiewano po swojemu, jak dawniej na swojej ziemi we Florynce. Chociaż ta pierwsza Służba Boża nie wypadła tak jak w cerkwi, ze względu na tremę księdza i trochę inny jego akcent, to nasza wartość duchowa ogromnie wzrosła. Łemkowie poczuli, że żyją swoją wiarą. Nie było też dla nikogo zaskoczeniem, że do cerkwi przyszli również florynczanie-grekokatolicy. [...]

Po zakończeniu nabożeństwa prawdziwe zebranie rozpoczęło się przed kapliczką. Przywitaniom, uściskom, uciechom i radości nie było końca. Żał było się rozstawać, szczególnie młodzieży, która po prostu pragnęła być ze sobą. Potem zaproszenia. Poproszono na obiad księdza. Tak zaczęła się ponowna integracja, czyli ponowne budowanie wspólnoty na obczyźnie.

Świętowano ten dzień bardzo uroczyście. Odwaga Łemków poszła w górę. W następne dni oczekiwano reakcji mieszkańców Torzymia na nasze wydarzenia. Oczekiwano również reakcji władz powiatowych. Nie stało się nic szczególnego. Społeczność polska w Torzymiu po prostu nas zaakceptowała, zaakceptowała „Łemków, co modlą się na cmentarzu”, a nie „Ukraińców”. Wójt powiedział: „Bardzo pięknie śpiewacie”. Myślę, że nieraz słuchał cerkiewnego śpiewu, bo pochodził – jak mówił – z Wołynia, z Trembowli. Władze powiatu nawet się nie odezwały.

Od tego czasu istniały w Torzymiu dwie społeczności: polska – katolicka i łemkowska – prawosławna. Jak się potem okazało, naszego śpiewu cerkiewnego słuchało całe miasto. Najgorzej było z księdzem katolickim, który nie mógł przeżyć, że pozwolono na „coś takiego”.

W niedługim czasie zemścił się w haniebny sposób. Kiedy zmarła Eufemia Merena z domu Gojdyca, ksiądz katolicki nie pozwolił pochować jej na cmentarzu urządzonym dla katolików. Pochowali Łemkowie swoją zmarłą za płotem nowego, katolickiego cmentarza. I tak rozpoczął się podział na dusze: lepsze miały być katolickie, a gorsze – za płotem – prawosławne. Eufemia Merena pochodziła z dobrej i bogatej rodziny. Mieli we Florynce nowy dom na Bołcarkach w sąsiedztwie Petra Cieśli i dość ładne gospodarstwo. Mieli też sporą gromadkę dzieci. Ojciec Eufemii, stary Gojdyca, był we Florynce zastużony dla cerkwi prawosławnej. Może ksiądz o tym wiedział?

Za: **J. Zwoliński**, *Rapsodia dla Łemków, Ци то лем туга, ци надія. Антологія повиселенчой лемківської літератури в Польщі. [Czy to tęsknota, czy nadzieja. Antologia powysiedleńczej literatury łemkowskiej w Polsce]*, wybór, redakcja, teksty wstępne H. Duć-Fajfer, Stowarzyszenie Łemków, Legnica 2002, s. 371-381.

Jarosław Zwoliński (1929-2002), wysiedlony wraz z rodzicami z rodzinnej Florynki, trafił na ziemię zachodnie. Kiedy rozpoczynał naukę w Prawosławnym Seminarium Duchownym w Warszawie, wcielono go do wojska. Po odbyciu służby wojskowej przez długie lata zajmował kierownicze stanowiska w spółdzielniach produkcyjnych. W 1989 roku zaangażował się w działalność powstającego Stowarzyszenia Łemków w Legnicy. Po przejściu na emeryturę zajął się spisywaniem wspomnień o losach Łemków. Jest również autorem monografii wsi Florynka i relacji dokumentalnych. Pisał po polsku. Na kilka lat przed śmiercią został przyjęty do grona Związku Literatów Polskich.

DO SZKOŁY TRZEBA CHODZIĆ

Nasza wioska była długa: Wyżna Mochnaczka i Niżna. Wyżna miała swojego sołtysa i Niżna. Wyżna miała swoją szkołę i Niżna miała swoją szkołę. U nas, w Niżnej, była piętrowa, piękna, murowana. Cztery sale przeznaczone do nauki, a reszta, na końcu korytarzy, dla nauczycieli na mieszkania.

Uczyliśmy się języka łemkowskiego. Przed wojną na mapach nawet napisane było „Łemkowyna”. U nas język łemkowski był jako pierwszy. Hymn łemkowski żeśmy śpiewali, którego nas Durkot Stefania nauczyła. W szkole dobre było przede wszystkim to, że mieliśmy scenę i wystawialiśmy różne przedstawienia: czy na imieniny prezydenta, czy na Dzień Matki. To były wielkie święta.

W klasie było nas trzydzieścioro dwoje. Pierwsza i druga klasy razem, trzecia i czwarta. Dwoje dzieci było polskiego pochodzenia, one nie miały słuchu i nie śpiewały, a reszta wszyscy śpiewali, od pierwszej klasy, nawet na dwa głosy. Kiedyś Dzień Matki przypadł w niedzielę, ludzie z cerkwi wyszli – a szkoła była koło cerkwi – przyszły mamy. Ja byłam bardzo mała, pani mnie postawiła na krześle. Mówiłam wierszyk, w rękę trzymałam dwa bukiety: jeden do wręczenia, a drugi, żeby rzucić pod nogi. *Pocitunkamy wytajemo...* I wszyscy żeśmy biegli wręczać kwiatki i obcałowywać mamy. A potem *Mnohaja lita zaśpiwajmo*. I śpiewaliśmy trzy razy. Potem *Kińmo kwitoczky pid nohy*. I wszystkim mamom pod nogi kwiatki żeśmy rzucali. A potem *Szczastia prosim u Bozi, naj Wam w żytiu radost bude... dajże Boziu naszym mamom mnohych, dohlich, szczasnych lit*. Dokładnie nie pamiętam. Polska nauczycielka też nas uczyła po łemkowsku. Jej ojciec namalował piękny obraz „Chrzest Rusi”, przed samą wojną. Jak przyszła wojna, przyszli ukraińscy nauczyciele. Pamiętam jak dzisiaj, mieliśmy lekcje, pani nam tłumaczyła, że trzeba swoje szanować. I weszła taka Stefania Nehrebecka, otworzyła drzwi i powiedziała: *Proszę opuścić salę, mam nakaz tu uczyć*. My wszyscy w płacz. I Durkot Stefania odeszła. My też przestaliśmy chodzić do szkoły, bo nam mówili, że jak nie będziemy chodzić, to i Nehrebecka odejdzie. A mój najstarszy brat powiedział: *Ty smarkata, taki czy taki nauczyciel, do szkoły trzeba chodzić*. I zaczęliśmy chodzić. Ukraińskiego żeśmy się uczyli, niemieckiego dwa lata – potem się przydało. Chociaż uczyć się nie chciało, bo to był okupant i nie było miło. Niedużo, ale coś tam w głowie zostało. Jak się człowiek z chęcią uczy, to inaczej do głowy wchodzi.

Ojciec Stefanii Durkot był księdzem i zginął w pierwszej wojnie światowej, w Talerhoffie, podobnie jak ojciec księdza Wehrynowycza, też ksiądz. Potem przyszedł nauczyciel Josyf Sydir, Ukrainiec. Jakby mógł, to by tym dzieciom nakładł: *Będziesz ty kiedyś żałował, jak się nie będziesz uczył*.

Byli w klasie i chuligani, taki Mikołaj Andrasz i inni jeszcze. A na lekcjach religii wszyscy do tyłu ręce, ksiądz coś tam czytał, i potem trzeba było odpowiadać na wrywki. Jak ktoś nie wiedział – to książką po uszach. A jak ksiądz zobaczył, że ktoś na lekcjach gadał, to miał taki kostur zakręcony i szturchał. I na kolanach klęczeli, przeważnie chłopcy. I za uszy wytargał.

CERKIEW W MOCHNACZCE NIŻNEJ

W Mochnaczce Wyżnej nie było cerkwi. Była tylko u nas, w Niżnej, grekokatolicka. W środku drewniane ikony. I przepiękny obraz – „Chrzest Rusi”, namalowany przez ojca nauczycielki, pani Bogdańskiej. Na górze chór i organy. Jak byłam wtedy w górach, to wszystko było po staremu – ikonostas, nic nie ruszane. Nawet napis cyrylicą był. Tylko tamtego obrazu nie było. Po lewej stronie wisiał...

FRAJLA

W Mochnaczce mieszkali Szymon i Kajla Berman. Jedną córkę mieli – Frajlę. W soboty nie pracowali. Na co dzień zajmowali się rolnictwem i tylko oni nosili do Krynicy Żydom mleko i co tam potrzebowali, bo Żydzi od byle kogo nie brali. Do cerkwi nie chodzili, ale do

szkoły i na religię Frajla chodziła. Wysoka była i bardzo ładna. Ze mną w ławce siedziała. Rysowałam za nią, bo z rysunku była słaba. A potem, na koniec roku pani mówi: *Frajla, masz piątki z góry na dół, tylko z jednego przedmiotu słabiej, wiesz z którego*. Frajla się popłakała i mówi: *Z rysunku*. – *Ale tak naprawdę to i ty powinnaś mieć dwójkę, i Siwcowo – za to, że ci rysuje*. Któregoś razu Frajla pogrywała się na mnie i siedziała gdzie indziej. Jakiś list z Melanią Gerberową napisały do Stefana Porucznika. Ten już list bierze, ale ksiądz zauważył: *Stefan, daj mi ten list*. A tam było napisane: „Za stodołą na konicynie leży Stefan na dziewczynie”. I ksiądz mówi do Stefana: *O, to ty taki*. On mówi: *Ja nie wiem nic*. Melania, że Frajla jej dyktowała. – *Frajla, już do domu* – wygonił ją. I więcej na religię nie przyszła. A do Melanii mówi tak – bo ona była nieślubnym dzieckiem: *Skończysz szkołę, to przyjdiesz do mnie na służbę*. Bo ksiądz wszystkie sieroty brał do siebie na służbę.

Miał dwa łany ziemi. Najwięcej w Mochnaczce. 100 metrów od banickiej granicy i od krynickiej granicy. I tyle samo w Mochnaczce Niżnej. Ludzie najpierw jego ziemię musieli obrobić, a dopiero później swoją. A on tylko przez lornetkę patrzył i później, jak wrócili do domu, mówił: *Ty się oglądałaś, ty z tamtą rozmawiałaś*. W domu też miał służbę, pracowali za jedzenie i mieszkanie. Krowy musieli doić, obornik wyrzucać i w domu u niego posprzątać i ugotować. Jegomość był najbogatszy w wiosce.

STROJE

Latem kobiety ubierały się w spódnice w kwiaty, gorset i haftowane bluzki. Na nogach kierzce. Był to raczej strój odświętny, na ważne okazje, tzw. strój krakowski.

Zimą zaś nosiły krótkie lub długie wełniane kożuchy, haftowane u dołu, do tego długie haftowane spódnice. Na plecach i na głowie duże, wełniane chustki. Chustka na głowę to tak zwana tebetka. Mężatka musiała obowiązkowo nosić tebetkę.

Mężczyźni niezależnie od pory roku nosili spodnie z sukna – „chołostnie” i bluzy też z sukna – „huńkę”. Sami produkowali sukno, szczególnie wieczorami, a potem z niego szyli. Mężczyźni zawsze nosili kapelusze.

OKUPACJA

Podczas okupacji pracowałam w Krynicy jako pomoc kuchenna. Do Krynicy mieliśmy tam bliżej niż tu do Osieka – przez górę tylko. Codziennie tam byliśmy.

Krynica była wtedy „zapelniona” dziećmi niemieckimi, bo na kolonię tu przyjeżdżali. Byli też z frontu ranni, poodmrażani żołnierze niemieccy. Oni zawsze narzekali, że my im podjadamy, że dostają słabe jedzenie. A jak przyjechali do Krynicy matki niemieckie swoje dzieci odwiedzić – tydzień były – to poczuły ten głód i mówiły, że to nieprawda, że my tu mamy skarb w tych górach.

PIERWSZE DNI W CHOMĘTOWIE

Mochnaczka była już trochę przygotowana do wysiedlenia, bo okoliczne wioski wysiedlali. A jeszcze taką bujdę puszczali, że Mochnaczka nie pójdzie. I nasi ludzie wszystkie pola poobsiewali. Ale pomału się szykowali. Dostaliśmy dwie godziny. Nie wiedzieliśmy, gdzie będziemy wysłani. To były trudne lata, dwa lata po wojnie, nic nie było pewne. A najmniej to, czy przeżyjemy...

Braliśmy ze sobą podstawowe rzeczy: pościel, jedzenie oraz zwierzęta. Każdy mógł wziąć jeden wóz. Jeśli ktoś nie miał konia – wóz ciągnęły krowy. Wioskę musieli opuścić wszyscy, z wyjątkiem Polaków. A że nasza wioska była duża, opuszczano ją w trzech grupach.

Uciekać nikt nie próbował. Wiedzieliśmy, że to nie ma sensu, bo by nas złapano i wysłano do obozów koncentracyjnych lub do pracy. Wojsko nie pomagało nam w pakowaniu czy przenoszeniu dobytku. Ponaglali nas. Nie używali jednak broni ani przemocy, nic nie niszczyli, nie kradli, nie palili.

My jechaliśmy w trzeciej turze. Załadowano nas z inwentarzem do pociągu towarowego. Wiem, że drugi transport zatrzymał się w Legnicy, a pierwszy i trzeci – skierowano na tereny gorzowskie. Warunki były ciężkie: jechaliśmy długo, razem ze zwierzętami, sianem, paszą... W wagonie było ciasno. I nie było mowy, żebyśmy sami wychodzili. Czasem podczas postoju dawano nam zupe. Gdy postoje wypadały na łąkach, żołnierze wypuszczali mężczyzn, żeby wzięli paszę dla zwierząt.



Większe postoje były w Jaworznie, Oświęcimiu, Wrocławiu, Opolu. Podczas postojów nikt nie próbował uciekać, bo dobrze wiedział, że gdyby został złapany, trafiłby do obozu. Cała podróż trwała dwa tygodnie. Jechało z nami kilka rodzin, ale pamiętam tylko Durniaków i Kluków. Rodzin raczej nie rozdzielano.

Podczas postoju w Jaworznie brano ludzi na przesłuchania, głównie mężczyzn i księży grekokatolickich. Przesłuchania miały na celu stwierdzenie, czy nie pracujemy dla UPA. Jeśli ksiądz grekokatolicki nie zgodził się odprawić mszę w kościele rzymskokatolickim, był zatrzymywany lub zabijany. W Jaworznie zginęło wielu niewinnych ludzi...

Przyjechaliśmy do Kurowa, wyładowali nas i: *Róbcie, co chcecie*. Była tam wielka stodoła i nocowaliśmy w niej dwa tygodnie. Krowy się pasły, a chłopcy chodzili i szukali, gdzie można się osiedlić.

W Chomętowie spodobał im się urodzaj, bo gospodarz patrzy na urodzaj. Wszystkie Siwce osiedlili się w Chomętowie. Mieszkało nas tam, Łemków, dziesięć rodzin. Dopiero potem rozeszli się do Ługów. Ale wesoło było. Śpiewało się do rana na podwórku, kołędowało, a rano do cerkwi przez lód, bo był bardzo gruby. Polacy też przychodzili, kołędowali z nami, nauczyli się nawet nasze piosenki śpiewać.

Do kościoła chodziliśmy w Chomętowie. Jacek nas nauczył pięknie śpiewać polskie pieśni i kołędy. I był taki ksiądz Nowak, który nas chwalił: *Idźcie do Chomętowa, tam jak w operze śpiewają*. A drugi raz mówił, że: *Ci, co się trzy razy żegnają, nóż za cholewą noszą i won z kościoła!*

Któregoś razu przyszedł po kołędzie ksiądz katolicki, jak już nasza parafia była, i pyta: *Czemu do kościoła nie chodzimy? A ja mówię, że ksiądz krzychał, że nóż za cholewą nosimy*. I jak to, między ludzi taką kość rzucić? Żeby ksiądz taki przykład dawał. To przecież namiestnik Chrystusa, powinien miłości uczyć.

Jak był pogrzeb Gerbery z Zagajów, to taki szum był na cmentarzu. A innym razem przyszedł do proboszcza Poleszczuka jeden Polak z Dobiegniewa i ostrzegł go, żeby się przygotować, bo już się szykują w Dobiegniewie. Ksiądz Nowak samochodem podjechał. I jak zobaczył, że orszak pogrzebowy idzie, zawrócił, dzwonami zadzwonił, żeby się wszyscy zeszli, nawet nauczyciele. Zeszli się i nas nie puszczają. Nie dali pochować Gabriela Siwca. Ale UB już było przyszykowane i zdjęcia robili. Potem sąd był, wszyscy byli wzywani, i ksiądz Nowak poszedł siedzieć.

POKAŻ MI PAN TAKI KRAJ, GDZIE NIE MA MNIEJSZOŚCI NARODOWYCH

W Mochnaczu mieszkali nie tylko nasi, ale także Polacy, Cyganie, Żydzi. Stosunki między nimi panowały bardzo dobre. Wszyscy sobie pomagali, bez względu na narodowość czy wyznanie. Cygan, który prowadził rzemiosło, był bardzo lubiany we wsi. Wszystkie narodowości były równe i wszyscy żyli w zgodzie.

Kiedyś płaciłam za energię elektryczną. Jeden pan pokazuje mi ręką i mówi: *O, Cyganka*. – *Cyganka* – ja mu odpowiadam – *i co z tego? Każdy ma prawo. Pokaż mi pan taki kraj, gdzie nie ma mniejszości narodowych*. A on mówi: *Ano nie ma*.

Zresztą to nie była Cyganka, tylko zwykła kobieta.

My z dziećmi mówiliśmy po łemkowsku. Moje dzieci umieją, ale wnuki to już nie za bardzo. Wstydzą się, towarzystwa krępują, czy co. Ja tam się nie krępuję, co się będę wstydziła, jak jestem wyrzucona ze swojego gniazda. Ja mówię: Żyd po swojemu gada, Niemiec przyjdzie – po swojemu gada, dlaczego ja mam się wstydzić? Nie ma takiego państwa nigdzie, żeby nie było mniejszości narodowej. To nie jest żaden wybryk, tak jest od Boga dane. Na przykład mam brata w Gdańsku, ma dwoje dzieci, syna i córkę. Jak ona powiedziała, że ma ojca Łemka, to tak jej zazdrościli...

W KRYNICY

Byłam w Krynicy na grobie naszego księdza, który był z nami, uczył nas religii – tam jest krzyż trzyramienny. Ale co mi się nie spodobało – jak ludzie do Rosji wyjechali, ten ksiądz zostawił naszą wioskę, poszedł do Limanowej do polskiego kościoła, katolickiego. Nazywał się Wenhrynówycz, a jego ojciec też był księdzem. Może się bał, ale myślę, że pasterz nie powinien swoich owieczek zostawiać. Pochowany jest w Krynicy na cmentarzu, obok Nikifora Drowniaka, tego malarza, też Łemka.

ŻEBY DO GÓR WRÓCIĆ, DO TYCH KOCHANYCH GÓR

Jak przyjechaliśmy na zachód, myślami byłam tylko tam – w górach. W górach to jest zdrowie, bardzo tęskniliśmy za górami. Dostaliśmy pożyczkę bezzwrotną, żeby się budować. Ale było powiedziane, że kto weźmie pożyczkę, to w góry nie wróci. Mało kto więc wziął, żeby do gór wrócić, do tych kochanych gór. Inni, którzy pojechali do Ameryki i zarobili pieniądze – bo tam można było zarobić – przyjeżdżali, żeby kupić kawałek ziemi w tych kochanych górach.

Po przyjeździe tutaj raz tylko byłam w górach. Tu mieliśmy gospodarstwo, nie było możliwości wyjechać. Zawsze szykowałam się, że na „Watrę” w Żdyni pojedziemy. Córka mówiła: *Koniecznie pojedźcie!* Planowała, że pojedziemy obydwój z mężem. Ale mąż zmarł. A tak bym z chęcią pojechała... Teraz już nie pojedę, zdrowia nie mam. A wrócić w góry? Do naszych okolic kiedyś nie puszczali, tam gdzie Grybów, to puszczali więcej, i wielu wróciło, ale na nasze tereny nie puszczali nikogo.

W tym, że przyjechaliśmy tu już na zawsze, upewniłam się, jak już dom tu mieliśmy, zaczęliśmy gospodarzyć i siał. Teraz już nie ma do czego wracać. Wszystko pozarastane. A nasi ludzie kiedyś obrabiali tam każdy skraweczek ziemi...

Część moich bliskich pochowanych już tutaj, w Dobiegniewie, mąż – w Strzelcach. Ja nie lubię miasta, tutaj się dobrze czuję, tu jest wszystko moje, ludzie znajomi i jakby nie było, żyję tu już ponad pięćdziesiąt lat.

OJCZYŻNA JEST WTEDY, GDY KTOŚ MA DO NIEJ SZACUNEK

Ojczyzna jest wtedy, gdy ktoś się rodzi w tej ojczyźnie i ma do niej szacunek. Dam taki przykład. Mam brata w Rosji, już nie żyje. Miał dwie córki: jedna wyszła za mąż za Brazylijczyka. W Brazylii mówią po portugalsku i on we Lwowie portugalskiego uczył, a jego żona – córka brata – angielskiego. No i Ruscy przyszedli do niego, żeby szkalił tę swoją Brazylię. On mówi: *Ja nie mogę. Jak ja mogę szkalić, kiedy to mój ojczysty kraj, w którym się urodziłem. Nie mogę*. I został represjonowany. Tak samo ja też powiem: Polska to mój rodzinny kraj z dziada pradziada. Miodów nie było, były rozmaite chwile: dobre i złe, ale tu się człowiek urodził. Mam córkę w Ameryce. Jej mąż pojechał wcześniej, najpierw był cztery lata, potem wrócił, potem znowu pojechał na cztery lata i sprowadził ją. Są tam, ale do kraju ich ciągnie. I wróć, bo tu jest rodzinny kraj i koniec.

ŚPIEW I MIŁOŚĆ

Ja bym chciała, żeby śpiew był taki, jak w domu kiedyś. Śpiew i miłość – to są dwie rzeczy najważniejsze, bo jak śpiew ładny i jak będzie jeden drugiego miłował, to będzie dobrze, nieprawda? O!

WIGILIA TO ZAWSZE MUSIAŁA BYĆ TRADYCYJNA

Najważniejsze były grzyby. U nas w domu gotowało się gulasz grzybowy. Najpierw pomaleńku, bo jak się szybko grzyby gotuje, to tracą aromat. Do tego listek laurowy i czosnek. A potem jeszcze cebulkę trzeba podsmażyć na oleju. Olej w górach był lniany, innego żeśmy nie znali. W wiosce była olejarnia, więc robiło się go na miejscu. Ten olej to była jedyna okrasa w Wielkim Poście czy przed świętami, na Rізdwo. Jak dziecko skończyło siedem lat, to mleka już w poście nie widziało.

Na wigilię obowiązkowo gotowało się groch. I kysielicę trzeba było zakisic. U nas z owsianej mąki się ją robiło. Owies trzeba było w żarnach przemielic, ości odsiać i zakisic. Kysielicia to jak polski żur z kielbasą, tylko u nas postne.

Robiło się też pierogi ze śliwkami. Tata śliwki przywoził z Grybowa czy Nowego Sącza, i zawsze trzeba było trochę schować, żeby było na wigilię. U nas w Mochnacze nie mieli swoich. Tam dalej, cztery kilometry od nas, było już inaczej – gruszki i jabłka fajne. A u nas jakiś klimat taki był.

WESELE NIERAZ TYDZIEŃ SIĘ CIĄGNĘŁO

Na wesele ciasto robiło się takie jak teraz, z kruszonką, tylko u nas bez kruszonki, ale ładnie upieczone. Gospodyni jajko rozbijała i z wierzchu smarowała, żeby ładny kolor był.

Bawili się kilka dni. Wesela nie odbywały się w sobotę, tylko w niedzielę. Goście z daleka końmi przyjeżdżali, zimą sankami. Najczęściej jednak pieszo do cerkwi szli. Drużbanci i drużki, starosta i starościna byli ubrani w stroje ludowe. Drużbanci mieli kapelusze z czerwoną wstążką i piórkiem po lewej stronie. Te piórka druhnny robiły. A druhnny nosiły spódnice (kabat), przeważnie czerwoną albo zieloną, w kwiaty. Do tego fartuszek z naszytymi wążutkami wstążeczkami, gorset z koralikami i różnokolorowe wstążki (basamunki) spięte na lewym ramieniu. Do tego wianuszki na głowie i korale, ale nie jeden sznurek, różne kolory musiały być – błyszczące, eleganckie! Do dzisiaj mam jeszcze taki strój. Druhen musiało być dużo. Nieraz nawet, jak młoda miała dużo koleżanek, to z rodziny nie prosiła, tylko koleżanki. Bo jak któreś za druhnę nie poprosiła, to ona wcale na wesele nie szła.

Młoda miała białą sukienkę i wianuszek na głowie, prawie jak teraz.

Jak wracali z cerkwi, z przodu szedł starosta z ryścią i śpiewał. Najpierw szli do panny młodej. Wesele urządzali w domu, w świetlicy. Stoły po bokach były poustawiane i jakoś ludzie się mieścili. O dwunastej była rycharowa – czyli taniec z panną młodą. Kiedyś nie było tak, że z młodą tańczyli tylko mężczyźni, a z młodym – kobiety, wszystkich musiała panna młoda obtańczyć. I wtedy się jej zostawiało prezenty. Jak się ludzie trochę pogościli, wracali do domów, wesele nie trwało do rana, jak dzisiaj. Następnego dnia, w poniedziałek, były poprawiny u pana młodego. Młodą przebierali w sukienkę czy w spódniczkę i bluzkę, na co kogo było stać. Jak miała warkocz – to himlę, taki kok, robili. I chustkę do tyłu zawiązywali. Śpiewali, że teraz to już nie panna młoda, ale kobieta. Oczepiny robiły swaszki, one najwięcej przyśpiewek znały. We wtorek starosta ze starościna robili gościnę u siebie, a następnego dnia jeszcze drużbanci – to się wesele nieraz tydzień ciągnęło.

Jak młoda szła na inną wioskę, to w wianie dostawała pieniądze. A jak w swojej wiosce zostawała – to ziemia wchodziła w ruch. Nie było zaręczyn jak dzisiaj – chłopak przychodził do rodziców pytać, czy dadzą mu córkę. I dogadywali się z ojcem dziewczyny: *A co jej dacie? Ile ziemi?* Jak który miał ziemię, to nie żałował córce, zwłaszcza kiedy widział, że gospodarka tam, gdzie ona idzie, jest w porządku. Trochę się targowali: jedni mówili, że za dużo, drudzy, że za mało. Ale się godzili. Rodzice panny młodej zawsze jednak musieli sami wesele zrobić i jeszcze dać trochę pieniędzy na wesele u młodego. W skrzyni dla młodej musiała być chustka wełniana, barankowa ją nazywali, chustki wełniane w kwiaty, spódnica. Teraz już tego nie ma. Jak się młodzi mają do siebie...

NASI CYGANIE

Cyganie zawsze na weselach grali. Bardzo ładnie grali, co im kto zaśpiewał – wszystko Cygan potrafił. Nut nie znali, tylko tak ze słuchu.

U nas Cyganie mówili po łemkowsku. Ale takiej Cyganki jak tutaj na Zachodzie, to ja w górach nigdy nie widziałam. Jak zobaczyłam ją na naszym podwórku, tak się wystraszyłam, że wydawało mi się, że biegnę, a ja w miejscu stałam. Mieszkały w górach Cyganki, ale nie tak ubrane. Wróżyły, ale jak ktoś z wioski chciał im coś dać, to bez wrózenia dawał. Pamiętam, jak mama mówiła: *Ja nie chcę twojego wrózenia, co mam, to ci dam. Na co mi to wrózenie, co Pan Bóg przeznaczył, to będzie.*

„LEKARZE”

Były takie babki do porodu. We wsi poważane były. I dobrze było, nigdy żadnych problemów. Ludzie zioła zbierali i się leczyli. A jak ząb bolał, to się nie szło do dentysty, tylko taki jeden we wsi wyrwał. I ten, co się pozbył dziadostwa – płacił. Pamiętam, jak mnie ząb bolał, mama do Krynicy do dentysty ze mną poszła. To było przed samą wigilią i u tego dentysty w domu tak pachniało ciastem. Jak wyrwał mi ząb, jego żona powiedziała: *Nie płacz, dam ci ciastka, tylko nie jedz od razu, mama ci powie, kiedy będzie ci wolno.* Od razu przestałam płakać.

Do Krynicy chciałam chodzić co rano, mama z siostrą chodziły z mlekiem prawie codziennie. Szłyśmy od razu do swoich „miejsc” w domach zdrojowych i nie trzeba było nigdzie stać.

IMIONA

Imiona kiedyś nadawało się od świętych: Piotr, Paweł, Anna, Maria, Szymon, Wasyl. Zwierząt nie można było nazywać ludzkim imieniem. Psy nazywali: Azor, As, Burek, konie: Kasztan, zaś krowy: Breza, Krasula, Kwitula.

JAKOŚ WESOŁO BYŁO

Dawniej ludzie sobie pomagali. Czasem, jak ktoś nie mógł sobie poradzić – brał sługę. Jak było małżeństwo, co dzieci nie miało, to brali sługę z biedniejszej rodziny, tam gdzie nie mogli wyżywić dzieci. Utrzymanie takie dziecko miało i pieniążki.

U nas też, jak mama i siostra były chore, ja byłam jeszcze mała, to mama musiała wziąć kucharkę. Różnie było, nie było rozkoszy, ale ludzie weselej żyli niż teraz. Śpiewaliśmy, tańczyliśmy. Jak tylko w parku ktoś na skrzypkach zagrał, my już tańczyliśmy. Chodziliśmy po asfalcie, bo samochodów wtedy tyle nie jeździło, i śpiewaliśmy. Tato mówi: *Nie śpiewajcie, bo się to może ludziom nie podoba.* A my mówimy: *My nikomu nie przeszkadzamy, nie śpiewamy tak, że nie można spać.* I nikt do nas nigdy pretensji nie miał, że chodzimy i śpiewamy. Teraz już tego nie ma, młodzież nie śpiewa wcale, bo albo telewizor, albo komórka, do klubu, pod sklep i piwo. A kiedyś śpiewali, opowiadali sobie różne cuda, bo telewizorów nie było. I wesoło było.

Za: *Z łemkowskiej skrzyni. Część pierwsza. Opowieści z Ługów i okolic*, red. M. Szyszko-Graban, A. Szyszko, A. Graban, Lemko Tower, Strzelce Krajeńskie 2003, s. 30-33.

PIERWSZE SPOTKANIE Z NIKIFOREM W KRYNICY W ROKU 1947

W roku 1947, dwa lata po zakończonej wojnie, do Krynicy przyjeżdżało się w lecie na wypoczynek. A także na leczenie. Otwarty był wtedy Nowy i Stary Dom Zdrojowy, czynne były łaźienki. Na deptaku pokazywano Gałczyńskiego, niedużego siwawego pana, mówiącego głośno do towarzyszących mu pań. Na dole w „Patrii” był dancing, grała orkiestra. Spotkaliśmy Nikifora niespodzianie. Wcale wtedy nie myśleliśmy o nim. Mało kto wtedy pamiętał czy wiedział, że w Krynicy żyje spokojnie, a raczej niespokojnie jedyny prymityw, ostatni wielki malarz ludowy naszego kraju. Spotkaliśmy go zaraz pierwszego dnia, bo pracował codziennie przy naszej stałej drodze, niedaleko Nowych Łazienek, przy szosie wiodącej do Tylicza. Z daleka widać było gromadkę ludzi skupionych przy kimś siedzącym na niskim murze, dzielącym trawnik od chodnika. W Krynicy wszystko jest atrakcją, chodzi się po to, by się przyłączyć do zbiegowiska. Trzeba było potem rozgarniać głowy dzieci, przecisnąć się między ludźmi wyższymi, aby dostrzec wreszcie małą, czarną i nędzną postać, skupiającą tylu ciekawych. Poznaliśmy go od razu.

Każdy z nas tworzy sobie własne wyobrażenie osoby nieznannej a interesującej, wyobrażenie bardzo konkretne, niezmiennie, przecież nieuzasadnione. Otóż Nikifor odpowiadał najdokładniej naszym myślom o postaci „Matejki z Krynicy”. Był mały, szczupły, pochylony, ze skrzywdzoną, ale pogodną twarzą, uśmiechnięty, z bardzo żywymi oczami zakrytymi okularami, wtedy złamanymi i związanymi sznurkiem. Malował w pozycji nadzwyczaj niewygodnej, lecz potwierdzonej tradycją kilkunastu co najmniej lat. Rozpoczętą akwarelę trzymał mianowicie położoną równiutko na tym samym murze, na którym siedział, czyli daleko od oczu. Prawdopodobnie był dalekowidzem. Niemniej starał się do niej przybliżyć, więc siedział bokiem, silnie nachylony.

Siadywał tak w każdy pogodny dzień od dziesiątej rano do szóstej wieczorem, dokładnie według zegarka cebulastego, który mierzył mu czas, leżąc przy kapeluszu na tym samym murze. Pracował pilnie. Malował powoli, z namysłem, starannie, co chwila podnosząc głowę, czyli odsuwając od oczu akwarelę i porównując to, co namalował, z tym, co miał przed oczami. Przed oczami zaś nie miał nic, cały był przecież zasłonięty gapiami. Co najwyżej mógł widzieć ten sam drewniany płot kąpieliska. Ale zarówno wtedy, gdy malował portrety krynickich will, jak wtedy, gdy malował nie istniejących świętych, jak i wtedy wreszcie, gdy budował na papierze swoje fantastyczne miasta, miał to wszystko dokładnie w oczach i wiedział dokładnie, co ma namalować.

Nie przeszkadzali mu w tym wcale stojący nad nim przechodnie. Przechodnie ci, tacy sami, jacy w każdym mieście na świecie zaglądają poprzez ramię i pod pędzel każdemu malarzowi malującemu na ulicy, składali się w przypadku Nikifora z dwu wyraźnie oddzielonych grup: z okolicznych dzieci i z tak zwanych kuracjuszy, a wtedy już wczasowiczów. Ale jednak ci ciekawi, bo znudzeni czym innym, towarzysze pracy Nikifora byli zdecydowanie różni od wszystkich innych natrętów przeszkadzających ulicznymi malarzom. Normalny natręt stara się bowiem być cichy i uprzejmy, chce pokazać, że podziwia działalność artysty, pragnie zademonstrować przed sobą, przed otoczeniem i przed malarzem swoją inteligencję i kulturę. Podchodzi więc na palcach, nakazuje innym milczenie, wyraża swoją aprobatę pełną dumy, półgłosem, ale tak, by artysta to słyszał, i odchodzi też na palcach, żegnając się lekkim skinieniem głowy ze znajomym już twórcą. Ale w przypadku Nikifora gapiowate dzieci i letników łączyła zdecydowana dla niego pogarda, a nawet nienawiść. Dzieci potrafią być okrutne, jeżeli mają możliwość i okazję. Tu okazja była znakomita.

Nikifor był od nich słabszy, nie umiał się bić, a nawet bronić, nie potrafił, czy też nie chciał uciekać. Był starszy, ale zupełnie do niczego. Mówił nie do rzeczy, udawał, że nie słyszy i choć miał swoje pięćdziesiąt lat, nie nauczył się porządnie pisać. Był jedynym człowiekiem w Krynicy, którego wolno było potrącać, zwracać uwagę, pokazując palcami, że robi błędy w stawianiu liter, a nawet krzyknąć na niego: „Ty, Nikifor!”, i to w zupełnej bezkarności, z aprobatą otoczenia. Bo dzieci słyszały codziennie od rodziców i od rodzeństwa same złe słowa o Nikiforze. Że jest żebrakiem, oszustem, darmozjadem, człowiekiem niepotrzebnym na świecie. Dzieci mieszkające niedaleko mogły się codziennie przekonać, że Nikifor jako jedyny

człowiek w Krynicy, a więc na całym świecie, nie robił nic, nawet porządnie nie żebrał, tylko smarował kartki papieru domami i figurami. Taki człowiek niby dorosły, a gorszy od dziecka, był niepodobny do nikogo. Nie zasługiwał nawet na bułkę, którą się żywił przez cały dzień. Dzieci mogły ostrzec przyjezdnych, opowiedzieć, kto to jest Nikifor, i to w jego obecności, śmiejąc mu się w oczy, mogły wykrzyknąć bezkarnie, że to głupi, pomyłony, głuchy, niemowa, niedorajda, do niczego, taki żebrak. A Nikifor nie tylko słuchał tego codziennie przez kilkanaście lat, ale doskonale to rozumiał. Kuracjusze wiedzieli więc na pewno i dokładnie, że to wydrwigrosz i oszust, że nie trzeba mu nic dawać, że obrazki jego są przecież nic niewarte i że „niech pan, czy pani, tego nie kupuje”. Bo oni, czyli ci, którzy wiedzą zawsze wszystko, nie pozwalali wtedy nawet na to, żeby obrazki Nikifora komuś się podobały.

Toteż nasze pierwsze spotkanie z Nikiforem było trudne i krótkie. Przecież gdy się dwie osoby przy kimś zatrzymują, zatrzymuje się zaraz dalszych dziesięć. Wszystkie te dalsze osoby wzięły udział w naszej pierwszej rozmowie. Trzeba było więc ją przerwać. Nikifor też jeszcze nie wiedział, że my o nim już coś wiemy, że się nam tak podobają jego akwarele. Po tym pierwszym spotkaniu przyszły dalsze.

Na drugi lub na trzeci dzień zjawił się u nas i namalował nam dwa małe portrety. Po zakończeniu dziennego malowania miał nas zaprowadzić do siebie do domu; mieszkał wtedy w Krynicy-wsi, w budynku na pół zrujnowanym, razem z chłopską rodziną, której nie lubił. Zajmował, przynajmniej częściowo, dwa pomieszczenia. Trudno było je nazwać pokojami. Pierwsza izba była kuchnią położoną od strony podwórza, na prawo od wejścia. Dzielił ją Nikifor razem ze swymi gospodarzami i w niej spał przy piecu na ławie, bez przykrycia. Pierwszym naszym sprawunkiem dla Nikifora było więc nabycie trzech koców, z których dwa zaraz znikły.

Drugi pokój, położony od frontu, z lewej strony, był duży, i Nikifor zajmował go sam. Pokój ten nie miał jednak szyb w oknach, a nawet, jak się zdaje, futryn. Oba okna, jedno od ulicy, drugie z boku, zwrócone w stronę uzdrowiska, zabite były deskami. W pokoju tym było ciemno i zimno. Nawet wilgotno. Niemniej tu właśnie Nikifor czuł się królem. W tej izbie mieściła się jego skrzynia z niedzielnym ubraniem, z bielizną, pustymi tekturkami i pięknymi akwarelami. Wszystko to pokazywał nam z wielką dumą, przynosząc po kolei potrzebne przedmioty do szpar w deskach okiennych. Nikifor był wtedy bardzo biedny. Święteczne ubranie było tak zniszczone, że nie nadawało się na szmatę. Tak samo bielizna. Niemniej składał ją i zamykał z ogromną starannością, z taką samą uwagą, z jaką przechowywał wilgotne i brudne tekturki. Trudno było stwierdzić, jakie stosunki prawne łączyły go z sąsiadami czy gospodarzami. Zresztą byli tak samo biedni jak on. W kuchni była ława, stołki, półka garnków i tyłek oraz stół. Do jedzenia i spania nie było nic. Nikifor, jak się dowiedzieliśmy, żywił się bułkami, a wieczorem zachodził do jednego z pensjonatów na talerz ciepłej zupy.

Nikifor był zupełnie sam. Podobno był nieślubnym dzieckiem matki tak samotnej jak on. Nigdy nie miał krewnych, przyjaciół, opiekunów. Otaczały go za to wiadomości sprzeczne, zgodne tylko w niechęci. Jedni twierdzili, że jest idiotą, niedorozwiniętym, inni znowu, że jest przebiegły i chytry. Według pewnej opinii był żebrakiem wyludzającym od naiwnych pieniądze, według innej znowu wersji posiadał majątek, a tylko udawał biedę. To nie ułatwiało sytuacji Nikifora.

Na razie więc nie myśleliśmy o sławie dla niego ani o uznaniu dla jego dzieła. Trzeba było pomyśleć naprzód o nim samym, o ulżeniu jego autentycznej biedzie. Najłatwiej, pozornie, przedstawiała się sprawa jedzenia. Żywności w Krynicy było pod dostatkiem, a dzięki naszemu zachwytowi dla akwarel Nikifora jego kieszenie zapełniły się wystarczająco, aby mógł sobie swobodnie obiadować codziennie przez szereg miesięcy. Ale tak było tylko pozornie. Istniały przeszkody ważniejsze. Nikifor nie uznawał wydawania pieniędzy na jedzenie. Cieszył się pieniędzmi, umiał doskonale liczyć, ale do majątku miał stosunek czysto abstrakcyjny. Zasadniczo zarobków więc nie wydawał. Oto przykład.

Kilka lat później, gdy mieszkał już w innym pokoju, od ogrodu, zbyt ciekawi chłopcy rozbili mu szybę. Pomimo bardzo ostrej zimy nie wstawił jej, i trzeba to było zrobić dopiero w lutym, w czasie przypadkowej wizyty, niedużym nawet trudem, bo szklarz mieszkał w pobliżu, i kosztem kilku złotych. Ale sam Nikifor na to by nie wpadł. Przekonaliśmy się też wkrótce, że miał zawsze jakąś żywą skarbonkę, jakiś prywatny i obrotowy bank, do którego zanosił z całym zaufaniem wszystkie swoje pieniądze. Oczywiście na zawsze. Sytuacja była więc dość komiczna. Każdy świadomy sytuacji wiedział bowiem dobrze, że pieniądze wpłacone Nikiforowi są przeznaczone nie dla niego, ale dla kogoś trzeciego, obcego, który wcale na



to nie zasługuje. Ale trzeba było się stosować do reguł tej gry, gdyż Nikiforowi ten sposób postępowania sprawiał ogromną przyjemność. A to było najważniejsze. Niemniej żywienie Nikifora można było zapewnić tylko bezpośrednio, przez zabieranie go do restauracji na obiady czy kolacje.

Za pierwszym razem Nikifor nie chciał jednak z nami wejść do restauracji „Krynickiej”, zwanej wtedy „Celerynką”. Okazało się mianowicie, że wyrzucano go stamtąd jako żebraka, i to źle ubranego, więc później, w towarzystwie nawet, zachował tak zwany uraz. Za to, gdy się dał przekonać i wszedł odważnie z nami po raz pierwszy i gdy wytrzymałmy razem wspólnie zdziwione i obraźliwe spojrzenia, gdy przeszedł spokojnie obok kelnerów, tym razem rozbrojonych, i usiadł z nami jak najbardziej w kącie, przy stoliku, radość jego była prawdziwa. Cieszył się zapewne więcej z nasycenia dumy niż z zaspokojenia głodu. Nareszcie mógł zamówić spokojnie duży kotlet, podwójną kapustę i piwo z sokiem. I do dzisiaj najlepszą przyjemnością Nikifora jest takie wspólne pójście na kolację. Z jaką rozkoszą zwraca on dzisiaj innym gościom uwagę, żeby przy stole nie palili, bo jemu to szkodzi...

Nadeszła teraz kolej na troskę o ubranie i przykrycie. W czasie przygotowań do odjazdu z Krynicy każde z nas uwzględniło już myśl o ubraniu Nikifora i został on na miejscu niezłe przygotowany na zimę. Zwłaszcza że przychodził już teraz do nas codziennie, do pensjonatu „Farys”, opowiadał o sobie, robił portrety i zawierał nowe znajomości.

Zabezpieczenie zimowe miało mu się przydać w warunkach najmniej spodziewanych, gdyż nagle, któregoś dnia, stała się aktualna sprawa wysiedlenia Nikifora z Krynicy. Nikifor tu się urodził, rzecz to niesporna, chodził w niedzielę do cerkwi, był więc prawosławny, nazywał się Netyfor¹. Był w połowie Łemkiem, ojciec jego był Polakiem, podkuchennym z Bochni. Wszyscy mieli wyjechać, dlaczego Nikifor miałby zostać?

Pewnego ranka Nikifor zjawił się więc u nas wyraźnie przerażony. Przyniósł jakieś papiery, papiery groźne, a resztę dopowiedział niewyraźną mową. Stało się dostatecznie jasne, że we wrześniu zostanie wysiedlony i jeżeli mu nie pomożemy, nie będzie więcej w Krynicy Nikifora². Tu na miejscu, pomimo wszystko, żył przecież między swoimi. Trzeba było mu pomóc.

Rozpoczęła się pierwsza batalia o niego. Los zdarzył, że na miejscu był wicewojewoda krakowski oraz prokurator wojskowy z Krakowa. Naprzód próbowaliśmy uratować Nikifora jako artystę. Argumentami były: zniszczony i brudny zeszyt „Arkad” z artykułem Wolffa, akwarela, a wreszcie sam mistrz ze swoją paletą. Artykuł okazał się nieprzekonywający, obrazki nieszczególnie ładne, a artyści nie chciał wpuścić z nami do środka wspianego gmachu portier Nowego Domu Źdrojowego. Sytuacja zdała się beznadziejna. Ale udało nam się pokazać Nikifora na deptaku i przy pracy, nędznego, wyniszczonego, wyraźnie potrzebującego opieki. Taki człowiek nie mógł sam podróżować, sam szukać dla siebie nowego miejsca w Polsce. Wszyscy to zrozumieli. Nikifor przestał być pozycją w rachunku, okazał się człowiekiem niedołącznym, którego nie powinno się wysiedlić.

Przy rozbudzonej życzliwości znalazły się nawet głębsze argumenty. Od razu stało się oczywiste, że wszystkie plotki przeciw niemu to złośliwość. Równocześnie z przesiedleniem ludności zabezpieczyć miano kapliczki, cerkwie, ikony. W ten sposób, przy okazji, rozstrzygnięto raz na zawsze narodowość Nikifora i stworzono podstawę, żeby mu w Krynicy pozwolić pracować. Zapadła więc na końcu wspólna przychylna decyzja, że Nikifor ma prawo pozostać na miejscu. Dokonano odpowiednich sprostowań i wykreśleń, zawiadomiono kogo i gdzie należało i mogliśmy wreszcie powiedzieć Nikiforowi, wskazując palcem w dół, że „tu zostanie”. Nikifor powoli zrozumiał i pokazał, że nam wierzy. W ten sposób, jak się zdawało, zrobione zostało wszystko, co zrobione być mogło i powinno.

Miesięczny pobyt w Krynicy, wypełniony szczęśliwie Nikiforem, zbliżał się szybko ku końcowi. Obiecywaliśmy sobie różne pomysły w przyszłości, ale na razie trzeba było wszystko przerwać. Daliśmy nasz adres Nikiforowi i życząc sobie serdecznie do widzenia, wróciliśmy spokojni do Krakowa.

Za: **E., A. Banachowie**, *Historia o Nikiforze*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2004, s. 22-35.

¹ Według rozstrzygnięcia sądu w Muszynie (2003 r.) prawdziwe nazwisko Nikifora brzmiało Epifaniusz Drowniak.

² Chodzi o akcję „Wisła” przeprowadzoną w 1947 r., przesiedlenia ludności niepolskiej (w tym Łemków) z południowo-wschodniej części kraju na ziemie zachodnie i północne.

Przepis na kyselicyę

Przepis na kyselicyę (kiselicyę, kieselicyę) funkcjonuje w tradycji ustnej, przekazywanej przez łemkowskie gospodynie. Zanotowany przez Patrycję Trzeszczyńską.

Składniki:

Zakwas:

0,5 kg mąki razowej owsianej lub 0,5 paczki płatków owsianych i 5 tyżek mąki pszennej
liść laurowy
3 ząbki czosnku
sól
woda

Wywar:

kminek
majeranek
liść laurowy
ziele angielskie
3-4 cebule
czosnek
pieprz
sól

Mąkę owsianą (lub płatki owsiane z mąką pszenną) zalać letnią wodą, dodać liść laurowy, czosnek, tyżeczkę soli. Przykryć gazą lub bawełnianą ściereczką i zostawić w ciepłym miejscu na dwa dni. Na trzeci dzień sprawdzić, czy na powierzchni żuru powstał delikatny osad. Zagotować 2 litry wody, dodać liść laurowy, kilka ziarenek ziela angielskiego, szczyptę majeranku i nieco więcej kminku. Na gotującą się wodę delikatnie przez sitko przecedzić zakwas, cały czas mieszając. Doprowadzić do wrzenia (uwaga, łatwo się przypala). Na patelni podsmażyć cebulę z czosnkiem, dodać do żuru, przyprawić solą i pieprzem. Podawać z omaszczonymi ziemniakami.



łemkowie

małopolska
wielu kultur



łemkowie

małopolska
wielu kultur

OPRACOWANIA OGÓLNE:

- J. Czajkowski**, *Studia nad Łemkowszczyzną*, Muzeum Budownictwa Ludowego, Sanok 1999.
- M. Dziewierski, B. Pactwa, B. Siewierski**, *Dylematy tożsamości. Studium społeczności łemkowskiej w Polsce*, Randall & Sfinks, Katowice 1992.
- B. Horbal**, *Działalność polityczna Łemków na Łemkowszczyźnie 1918-1921*, Arboretum, Wrocław 1997.
- W. Krygowski**, *Beskid Niski, Pogórze Ciężkowickie (część wschodnia) i Pogórze Strzyżowsko-Dynowskie (część zachodnia)*, Wydawnictwo Sport i Turystyka, Warszawa 1967.
- A. Kwilecki**, *Łemkowie, zagadnienia migracji i asymilacji*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1974.
- Łemkowie, Bojkowie, Rusini – historia, współczesność, kultura materialna i duchowa*, red. S. Dudra, B. Halczak, A. Ksenicz, J. Starzyński, Łemkowski Zespół Pieśni i Tańca „Kyczer”, Legnica – Zielona Góra 2007.
- Łemkowie. Historia i kultura. Sesja naukowa, Szreniawa, 30 czerwca-1 lipca*, red. H. Duć-Fajfer, Wydawnictwo Media-Expo, Szreniawa 2007.
- Łemkowie i łemkownictwo w Polsce*, red. A. A., Zięba, Polska Akademia Nauk, Kraków 1997.
- Łemkowie w historii i kulturze Karpat*, cz. I, red. J. Czajkowski, wyd. II uzupełnione i poprawione, Muzeum Budownictwa Ludowego, Sanok 1995.
- E. Michna**, *Łemkowie. Grupa etniczna czy naród?*, Nomos, Kraków 1995.
- E. Michna**, *Kwestie etniczno-narodowościowe na pograniczu Słowiańszczyzny wschodniej i zachodniej. Ruch rusiński na Słowacji, Ukrainie i w Polsce*, Polska Akademia Umiejętności, Kraków 2004.
- M. Misiak**, *Łemkowie: w kręgu badań nad mniejszościami etnolingwistycznymi w Europie*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2005.
- J. Moklak**, *Łemkowszczyzna w Drugiej Rzeczypospolitej: zagadnienia polityczne i wyznaniowe*, „Historia Iagellonica”, Kraków 1997.
- J. Nowak**, *Zaginiony świat? Nazywają ich Łemkami*, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych „Universitas”, Kraków 2003.
- Odkrywczy i budziciele Łemkowszczyzny. Materiały konferencyjne*, red. A. Strzelecka, L. Puchała, Oficyna Wydawnicza Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Grzegorza z Sanoka, Sanok 2007.
- K. Pudło**, *Łemkowie. Proces wrastania w środowisko Dolnego Śląska 1947-1985*, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Wrocław 1987.
- R. Reinfuss**, *Śladami Łemków*, Wydawnictwo PTTK, Warszawa 1990.
- R. Reinfuss**, *Łemkowie jako grupa etnograficzna*, Muzeum Budownictwa Ludowego, Sanok 1998.
- J. Rieger**, *Słownictwo i nazewnictwo łemkowskie*, Semper, Warszawa 1995.
- J. Starzyński**, *Szlakiem nieistniejących wsi łemkowskich*, Fundacja Wspierania Mniejszości Łemkowskiej „Rutenika”, Warszawa 2006.
- B. Wasilewska-Klamka**, *Łemkowski Raj Utracony. Antropologiczne studium małej ojczyzny*, Fundacja Wspierania Mniejszości Łemkowskiej „Rutenika”, Warszawa 2006.
- J. Żurko**, *Łemkowie – między grupą etniczną a narodem*, [w:] *Mniejszości narodowe w Polsce*, red. Z. Kurcz, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1997.

SZTUKA:

- E., A. Banachowie**, *Historia o Nikiforze*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2004.
- R. Brykowski**, *Łemkowska drewniana architektura cerkiewna w Polsce, na Słowacji i Rusi Zakarpackiej*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Ossolineum 1986.
- J. Czajkowski**, *Cerkwie na Podkarpaciu od XVII do XIX w. (w świetle źródeł archiwalnych)*, [w:] *Łemkowie w historii i kulturze Karpat*, t. 2, red. tenże, Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku, Sanok 1994.
- Z. Muzyk**, *Cerkwie Sąddeckiej*, Wydawnictwo Fundacja, Nowy Sącz 2001.

- Z. Muzyk**, *Cerkwie Ziemi Gorlickiej*, Wydawnictwo Fundacja, Nowy Sącz 2001.
- Z. Muzyk**, *Cerkwie. Wschodnia część Beskidu Niskiego*, Wydawnictwo Fundacja, Nowy Sącz 2002.
- S. Kryciński**, *Cerkwie w Bieszczadach*, Oficyna Wydawnicza Rewasz, Pruszków 1995.
- Z. Szanter**, *Dorzecze górnej Ropy: historia wsi i sztuka cerkiewna XVIII wieku*, Towarzystwo Karpackie – PTR Kartografia, Warszawa 2005.
- Z. Szanter, B. Tondos, J. Tur**, *Sztuka sakralna na terenach łemkowskich i bojkowskich*, [w:] *Łemkowie. Kultura – sztuka – język. Materiały z sympozjum zorganizowanego przez Komisję Turystyki Górskiej ZG PTTK, Sanok, 21-24 września 1983 r.*, red. J. W. Gajewski, Wydawnictwo PTTK „Kraj”, Warszawa–Kraków 1987.
- J. Tur**, *Architektura cerkiewna*, [w:] *Łemkowie. Kultura – sztuka – język. Materiały z sympozjum zorganizowanego przez Komisję Turystyki Górskiej ZG PTTK, Sanok, 21-24 września 1983 r.*, red. J. W. Gajewski, Wydawnictwo PTTK „Kraj”, Warszawa–Kraków 1987.

LITERATURA FAKTU I WSPOMNIENIA:

- A. Barna**, *Z pamiętnika wysiedleńca*, Atut, Legnica 2004.
- R. Chomiak**, *Nasz łemkowski los*, „SOWy” – Sądecka Oficyna Wydawnicza Wojewódzkiego Ośrodka Kultury, Nowy Sącz 1995.
- A. Chudyk**, *Kasarnia powodem dramatu 1939-1944*, [b.m.w.] 2002.
- J. Gajur**, *Od Magury po Ostawę. Podróż sentymentalna po Łemkowszczyźnie*, Wydawnictwo Arete II, Krosno–Targowiska 2004.
- J. Gajur**, *Łemkowskie Magury*, Wydawnictwo Arete II, Krosno 2006.
- J. Gajur**, *Słońce zachodzi nad Łemkowszczyzną*, Wydawnictwo Arete II, Krosno 2006.
- F. Gocz**, *Życie Łemka*, www.beskidniski.pl.
- T. Kuziak**, *Dawno, to były czasy... Opowiadania i humoreski z Łemkowiny*, Wydawnictwo „Nasza zahoroda”, Krynica 1999.
- S. Madzela**, *Smak doli*, z łemkowskiego przeł. Z. Zegadłówna, „SOWy” – Sądecka Oficyna Wydawnicza Wojewódzkiego Ośrodka Kultury, Nowy Sącz 1986.
- P. Murianka**, *Dom na wzniesieniu*, „Krasnogruda” 2000, nr 11, s. 203-212.
- P. Murianka**, *A Wisła płynie dalej*, Stowarzyszenie Łemków, Krynica–Legnica 2007.
- Pamiętniki osadników Ziemi Odzyskanych*, oprac. Z. Dulczewski, A. Kwilecki, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1963.
- W. Sitek**, *Mniejszość w warunkach zagrożenia. Pamiętniki Łemków*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1996.
- Z łemkowskiej skrzyni*, cz. I: *Opowieści z Ługów i okolic*, Wydawnictwo „Lemko Tower”, Strzelce Krajeńskie 2003.
- J. Zwoliński**, *Łemkowie w obronie własnej. Zdarzenia, fakty, tragedie. Wspomnienia z Podkarpacia*, Koszalin 1996.
- J. Zwoliński**, *Rapsodia dla Łemków, Ци то лем туга, ци надія. Антологія повиселеной лемківської літератури в Польщі*. [Czy to tęsknota, czy nadzieja. Antologia powysiedleńczej literatury łemkowskiej w Polsce], wybór, redakcja, teksty wstępne H. Duć-Fajfer, Stowarzyszenie Łemków, Legnica 2002, s. 371-381.
- M. Żrółka**, *Opowieści łemkowskie*, Wydawnictwo WRG, Warszawa 1998.

ANTOLOGIE, OPRACOWANIA LITERATURY ŁEMKOWSKIEJ:

- H. Duć-Fajfer**, *Literatura łemkowska w drugiej połowie XIX w. i pierwszej połowie XX wieku*, Polska Akademia Umiejętności, Kraków 2001.
- Ци то лем туга, ци надія. Антологія повиселеной лемківської літератури в Польщі* [Czy to tęsknota, czy nadzieja. Antologia powysiedleńczej literatury łemkowskiej w Polsce], wybór, oprac., teksty wstępne H. Duć-Fajfer, Stowarzyszenie Łemków, Legnica 2002.

ARTYKUŁY W CZASOPISMACH:

- H. Duć-Fajfer**, *Łemkowie w Polsce*, „Magury 1991. Rocznik krajoznawczy poświęcony Beskidowi Niskiemu” 1992, s. 11-30.
- H. Duć-Fajfer**, *Łemkowie w Polsce. Proces rozwoju świadomości etnicznej, aktualna sytuacja i perspektywy przetrwania*, „Płaj. Almanach Karpacki” 1994, t. 9, s. 5-29.
- H. Duć-Fajfer**, *Mniejszościowa wizja miejsca swej grupy w społeczeństwie polskim na podstawie twórczości literackiej Łemków*, „Przegląd Polonijny” 1998, z. 3, s. 137-157.

- A. Duda**, *Łemkowskie przyspiewki weselne*, „Literatura Ludowa” 1997, nr 4/5, s. 61-77.
- S. Dudra**, *Życie religijne Łemków wyznania prawosławnego na ziemiach zachodniej Polski po akcji „Wisła”*, „Płaj. Almanach Karpacki” 2004, t. 28, s. 70-86.
- J. Giedyk**, *A myśmy też tam byli, miód i wino pili, czyli wesela na Łemkowszczyźnie wczoraj i dziś*, „Magury. Rocznik krajoznawczy poświęcony Beskidowi Niskiemu” 2001, s. 122-127.
- J. Gołda**, *Odrodzenie Łemków*, „Sycyna” 1996, nr 16, s. 12-13.
- B. Gomółka**, *Krzyże, kapliczki i figury przydrożne górnej części doliny Białej*, „Płaj. Almanach Karpacki” 1996, t. 12, s. 91-106.
- B. Gomółka**, *Znaki pamięci*, „Spotkania z Zabytkami” 1997, nr 5, s. 15-18.
- K. Kubiak**, *Łemkowie*, „Spotkania z Zabytkami” 2003, nr 9, s. 34-36.
- G. Malinowska**, *Na szlakach Łemkowszczyzny*, „Poznaj swój kraj” 1996, nr 5, s. 18-19.
- J. Moklak**, *Republiki łemkowskie 1918-1919*, „Wierchy” 1993, nr 59, s. 63-76.
- T. A. Olszański**, *Pół wieku po akcji „Wisła”*, „Płaj. Almanach Karpacki” 1997, t. 14, s. 67-75.
- T. A. Olszański**, *Refleksje o Łemkowszczyźnie, a raczej Łemkach*, „Płaj. Almanach Karpacki” 2003, t. 27, s. 5-38.
- R. Reinfuss**, *Łemkowie w kulturze górali karpackich*, „Płaj. Almanach Karpacki” 1997, t. 14, s. 89-95.
- Z. Skrok**, *Niewidoczna obecność wieków*, „Spotkania z Zabytkami” 1998, nr 1, s. 9-12.
- A. Stachowiak**, *Łemkowskie krzyże kamienne w dolinach Bielczy i Górnej Jasiołki*, „Płaj. Almanach Karpacki” 2001, t. 23, s. 113-120.
- A. Stachowiak**, *Łemkowskie krzyże kamienne i ich twórcy*, „Magury 2002. Rocznik krajoznawczy poświęcony Beskidowi Niskiemu” 2002, s. 6-33.
- S. Udziela**, *Zwyczaje, obyczaje i wierzenia Łemków*, „Magury 1997. Rocznik krajoznawczy poświęcony Beskidowi Niskiemu” 1997, s. 89-95.
- M. Wosiek**, *Zwyczaje i wierzenia Łemków związane ze śmiercią*, „Magury 2000. Rocznik krajoznawczy poświęcony Beskidowi Niskiemu” 2000, s. 32-51.
- M. Wosiek**, *Łemkowskie cmentarze*, „Magury 2001. Rocznik krajoznawczy poświęcony Beskidowi Niskiemu” 2001, s. 83-115.
- M. Źrółka**, *Pieskie losy*, „Płaj. Almanach Karpacki” 1997, t. 14, s. 85-91.



łemkowie

małopolska
wielu kultur

Strony internetowe poświęcone Łemkom i kulturze łemkowskiej

<http://www.stowarzyszenielemkow.pl/>

Strona Stowarzyszenia Łemków z siedzibą w Legnicy (08.04.2009)

<http://www.lemkounion.com/>

Strona Zjednoczenia Łemków z siedzibą w Gorlicach (08.04.2009)

<http://www.ruskabursa.org/>

Strona Stowarzyszenia Ruska Bursa z siedzibą w Gorlicach (08.04.2009)

<http://www.lemko.org/>

Strona poświęcona kulturze i historii Łemków (08.04.2009)

<http://akcjawisla.fm.interia.pl/>

Strona poświęcona Akcji „Wisła” (08.04.2009)

<http://www.serencza.pl/>

Witryna łemkowskiego zespołu folkowego Serencza (08.04.2009)

<http://lemkowyna.net/>

Strona prowadzona i adresowana do młodych Łemków (08.04.2009)

<http://www.werchowyna.nazwa.pl/>

Łemkowsko-ukraiński wortal internetowy „Werchowyna” (08.04.2009)

<http://www.archiwumlemka.art.pl/>

Miejsce spotkań Łemków w sieci (08.04.2009)

<http://www.cerkiew.net/>

Strona Cerkwi Grekokatolickiej w Polsce (08.04.2009)

<http://www.orthodox.pl/>

Strona Cerkwi Prawosławnej w Polsce (08.04.2009)

<http://www.beskid-niski.pl/>

Strona poświęcona Beskidowi Niskiemu (08.04.2009)
Obszerne materiały dotyczące kultury i historii Łemków

<http://www.naszylude.net/>

Miejsce spotkań Łemków w sieci (08.04.2009)

<http://www.rusin.sk/>

Strona poświęcona Rusinom na Słowacji (08.04.2009)

<http://www.lemky.com/>

Strona poświęcona Łemkom na Ukrainie (08.04.2009)

<http://www.rusynmedia.org/>

Rusyn International Media Center (strona w języku angielskim) (08.04.2009)

<http://www.rusyn.org/>

Word Academy of Rusyn Culture (strona w języku angielskim) (08.04.2009)



łemkowie

małopolska
wielu kultur

<http://www.dukla.home.pl/archiwum/turystyka/zyndranowa/index.htm>
Informacje o Muzeum Skansenie Kultury Łemkowskiej w Zyndranowej (08.04.2009)

<http://www.carpatho-rusyn.org/>
Baza wiedzy o karpackich Rusinach (w języku angielskim) (08.04.2009)

<http://rusyn.webpark.pl/>
Strona poświęcona poezji łemkowskiej (08.04.2009)

<http://www.ia.pw.edu.pl/~ttraczyk/parafia.html>
Strona Tomasza Traczyka, na której umieszczone są pliki muzyczne z łemkowskimi pieśniami (08.04.2009)



łemkowie



**małopolska
wielu kultur**